

Nora Roberts

*Wyspa kwiatów*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Przylot na lotnisko międzynarodowe w Honolulu wyglądał tradycyjnie. Laine zdecydowanie wolałaby wtopić się w tłum, ale klasa turystyczna, którą podróżowała, zapewniała dodatkowe atrakcje w hali przylotów. Pięknie opalone i promiennie uśmiechnięte dziewczęta, przystrojone w jaskrawe spódniczki, obdarowywały podróżnych wieńcami z barwnych kwiatów. Przyjmując powitalne pocałunki i kolejne girlandy, Laine przedzierała się przez tłum w poszukiwaniu punktu informacyjnego. Niespodziewanie na jej drodze wyrosła tęga postać. Koszula w pomarańczowe i żółte kwiaty oraz dwa aparaty zawieszane na szyi nie pozostawiały złudzeń, że ich właściciel pragnie w pełni korzystać z wakacji. Być może w innych okolicznościach ten widok rozbawiłby ją, ale teraz była zbyt zdenerwowana, by zwrócić na niego uwagę. Nie stała na amerykańskiej ziemi od piętnastu lat. Kiedy podczas lądowania patrzyła na klify i plaże, wcale nie czuła, że wraca do domu.

Obraz Ameryki, jaki zachowała w pamięci, składał się ze strzępów wspomnień siedmioletniego dziecka. Dominowały w nich zielone łąki, upstrzone złotymi jaskrami, sękaty wiąz, strzegący okna sypialni, i skrzynka na listy, stojąca na końcu alejki. Ale przede wszystkim

było to wspomnienie mężczyzny, który zabierał ją w fantastyczny, wyimaginowany świat podróży po afrykańskich dżunglach i bezludnych wyspach. Bujna i egzotyczna roślinność Honolulu była dla Laine równie obca jak ojciec, którego przyjechała tu odszukać. Miała wrażenie, że od rozwodu rodziców, który rzucił ją tak daleko od jej korzeni, minęły już całe wieki.

Bała się, że adres, odnaleziony wśród papierów matki, zaprowadzi ją donikąd. Nie wiedziała, jak stary jest ten pomięty skrawek papieru. Nie miała nawet pojęcia, czy kapitan James Simmons wciąż mieszka na wyspie Kauai. Nie było żadnych listów, potwierdzających aktualność adresu. Sensowniej byłoby napisać do ojca, ale po tygodniu rozważań uznała, że lepiej będzie spotkać się z nim osobiście. Pieniądzy miała zaledwie na tydzień i doskonale wiedziała, że ta podróż to czyste szaleństwo. Nic jednak nie mogło jej powstrzymać. Bała się jedynie, że u celu zostanie odrzucona.

W zasadzie nie mam powodu, by spodziewać się czegoś innego, zganiła się w myślach. Dlaczego mężczyzna, który opuścił ją w okresie dla dziecka najważniejszym, miałby teraz interesować się jej losem?

Odetchnęła głęboko i ponownie obiecała sobie, że zaakceptuje wszystko, co ta podróż przyniesie. A także to, co spotkają na końcu tej drogi. Już dawno nauczyła się akceptować wyroki losu. Przywykła do ukrywania uczuć, co utrwaliło się w okresie dojrzewania.

Szybkim ruchem poprawiła biały kapelusz z miękkim rondem i uniosła głowę. Nikt by nie odgadł, że ta dziewczyna o gęstych włosach w kolorze lnu, krocząca

z gracją wśród tłumu turystów, czuje narastający wewnątrz niepokój. Wyglądała elegancko w swym odziedziczonym kostiumie podróżnym z błękitnego jedwabiu. Kostium trzeba było dopasować do jej delikatnej figury, gdyż matka miała obfitsze kształty.

Dziewczyna w punkcie informacyjnym zajęta była pogawędką z jakimś mężczyzną. Laine stanęła z boku i przypatrywała się im z wyraźnym zainteresowaniem. Mężczyzna miał ciemną karnację i był bardzo wysoki. Jej uczennice zapewne powiedziałyby o nim, że jest atrakcyjny. Jego surową twarz okalały czarne, kręcone, zmierzwione, pozostające w dużym nieładzie włosy. Opalona skóra była dowodem na to, że nie obce było mu słońce Hawajów. W jego wyglądzie było coś zawiadackiego. Jakaś zmysłowość, którą Laine rozpoznawała, ale nie do końca rozumiała. Pomyślała, że chyba kiedyś miał złamany nos, ale jeśli nawet tak było, to jego profil tylko na tym zyskał, nabierając bardziej męskiego, zadziornego wyglądu. Ubrany był zwyczajnie w znoszone dżinsy z postrzępionymi nogawkami i roboczą koszulę, podkreślającą szeroki tors i muskularne ramiona.

Laine przyglądała się mu z lekką irytacją. Obserwowała, jak swobodnie się zachowywał, jak czarował swoją rozmówczynię, jak nonszalancko opierał się o kontuar i kpiąco uśmiechał. Wspominając z goryczą matkę, pomyślała, że zna ten typ facetów, krążących nad kobietą niczym sępy. Pamiętała, że kiedy uroda matki przeminęła, tłumek adoratorów zainteresował się młodszymi wybrankami. W takich chwilach Laine czuła

wdzięczność, że jej kontakty z mężczyznami były dotąd tak ograniczone.

Mężczyzna odwrócił się i podchwycił jej spojrzenie. Zdenerwowana, nie potrafiła odwrócić wzroku.

Lustrował ją uważnie, unosząc ciemne brwi. Prostota stroju Laine podkreślała jej elegancję i ukazywała piękną budowę młodego ciała. Kapelusz tylko nieznacznie zakrywał twarz. Widać było delikatne, arystokratyczne rysy, prosty nos, usta bez uśmiechu i oczy o barwie porannego nieba. Rzęsy miała gęste, złociste i wyjątkowo długie. Mężczyzna pomyślał, że chyba nie mogą być naturalne. Spostrzegłszy, że jedynym widocznym kosmetykiem jest lakier do paznokci, uznał, że dziewczyna musi być skromna i zrównoważona.

Powoli, z wyrachowaną zuchwałością, uśmiechnął się. Laine starała się nie dać po sobie poznać żadnych uczuć i ukryć rumieniec, który pojawił się na jej twarzy. Urzędniczka, widząc, że jej rozmówca znalazł sobie inny obiekt zainteresowania, niechętnie przeniosła wzrok na Laine.

- W czym mogę pomóc? - zapytała z wyuczonym uśmiechem.

Laine zignorowała mężczyznę i podeszła do kontuaru.

- Dzień dobry. Muszę się dostać na Kauai. Czy mogłaby mi pani w tym pomóc?

W głosie Laine dawało się wyczuć francuski akcent.

- Oczywiście. Lot czarterowy na Kauai będzie za...

- Urzędniczka spojrzała na zegarek i uśmiechnęła się ponownie. - Za dwadzieścia minut.

- A ja ruszam natychmiast - odezwał się mężczyzna.

Laine spojrzała na niego. Zauważyła, że jego oczy były intensywnie zielone.

- Po co marnować czas na wylot do lotniska? - Nieznajomy uśmiechał się szeroko. - A poza tym mój samolot nie jest tak zatłoczony i kosztowny jak lot czarterowy.

Laine pogardliwie uniosła brew.

- A czy pan ma samolot? - zapytała chłodno.

- O tak, mam samolot. - Mimo iż opierał się o konrtuar, nadal był od niej o wiele wyższy. - Nigdy nie gardzę drobnymi, jakie można dostać za przewiezienie kogoś z wyspy na wyspę.

- Dillon - odezwała się urzędniczka, ale przerwał jej skinieniem dłoni i ponownie się uśmiechnął.

- Rose może za mnie ręczyć. Latam dla linii Canyon na Kauai.

- Dillon... Pan O'Brian jest świetnym pilotem - odchrząknęła Rose i posłała mu znaczące spojrzenie. - Mogę zapewnić, że lot jego samolotem będzie równie ekscytujący, jak czarterowym.

Przyglądając się jego twarzy, która wyrażała lekceważenie i rozbawienie, Laine pomyślała, że podróż nie będzie chyba aż tak ciekawa, jak zapewniała ją urzędniczka. Ale z drugiej strony wiedziała, że ma mało pieniędzy i warto wykorzystać okazję, by zaoszczędzić kilka dolarów.

- Świetnie, panie O'Brian. Skorzystam z pana usług.

Wyciągnął rękę przed siebie dłonią do góry. Wścikła, spojrzała na niego.

- Jeśli poda mi pan swoją stawkę, to chętnie zapłacę po wylądowaniu.

- Odprawa bagażowa - uśmiechnął się. - Część usługi, proszę pani.

Pochyliła głowę, żeby ukryć rumieniec.

- W porządku, ruszajmy. Lot zajmie nam dwadzieścia osiem minut. - Wziął ją pod rękę i poprowadził przed siebie. - Do zobaczenia, Rose! - Odwrócił się przez ramię i pożegnał z dziewczyną za biurkiem.

Laine, nieprzy zwyczaj ona do tego, by ją ktoś tak bezceremonialnie traktował, z trudem utrzymywała spokój, niemal biegnąc przy jego boku.

- Mam nadzieję, panie O'Brian, że nie będziemy musieli tak biec do Kauai.

Zatrzymał się i uśmiechnął szeroko. Laine bezskutecznie starała się nie dyszeć. Zauważyła, że jego uśmiech ma w sobie niezwykłą moc. Pomyślała jednocześnie, że nie potrafi się przed nim bronić.

- Myślałem, że się pani spieszy, pani... - Rzucił okiem na bilet i Laine zauważyła, że uśmiech znika mu z twarzy. Kiedy uniósł wzrok, nie było już w nim nawet cienia rozbawienia. Gdyby nie trzymał jej tak mocno, pewno uciekłaby, widząc w tym spojrzeniu wyraźną *wrogość*.

- Laine Simmons? - Zabrzmiało to raczej jak oskarżenie, a nie pytanie.

- Zgadza się, wymówił to pan prawidłowo - przytaknęła.

Oczy Dillona zwięziły się. Poczuli, że jej spokój topnieje w zastraszającym tempie.

- Czy jedziesz może zobaczyć się z Jamesem Simmonsem?

Patrzyła na niego ze zdziwieniem. Przez moment miała w sercu nadzieję, jednak po chwili czar prysnął. Wyraz jego twarzy pozostawał nieprzyjazny. Czując, jak zaciska palce na jej ramieniu, powstrzymała się przed zadawaniem pytań.

- Nie wiem, dlaczego tak pana to interesuje, panie O'Brian - zaczęła - ale odpowiedź brzmi: tak. Czy zna pan mojego ojca?

- Tak, znam... Zapewne lepiej niż ty. No cóż, księżniczko. Wątpię, czy piętnaście lat spóźnienia to lepiej niż nigdy, ale zobaczymy. Linie Canyon są do twojej dyspozycji. - Ukłonił się nieznacznie. - Jedziemy do domu. O mało nie policzyłem za podróż marnotrawnej córce właściciela. - Wziął bagaże i ruszył w grobowej ciszy.

Wstrząśnięta wrogim zachowaniem i tym, co usłyszała, podążyła za nim.

Ojciec jest właścicielem linii lotniczych, huczało jej w głowie. Pamiętała Jamesa Simmonsa jako pilota, który mógł jedynie marzyć o własnych liniach. Kiedy ten sen stał się rzeczywistością? Dlaczego ten mężczyzna, który właśnie pakował walizkę do luku małego samolotu, tak gwałtownie się zmienił, kiedy poznał jej nazwisko? Skąd wiedział, że rozłąka z ojcem trwała piętnaście lat? Otworzyła usta, by zadać te pytania Dillonowi, ale zaraz je zamknęła, kiedy zobaczyła jego wściekłe spojrzenie.

- No to lecimy, księżniczko. - Złapał ją w talii i podniósł z taką swobodą, jakby ważyła tyle co puch.



Pomógł jej zająć miejsce w samolocie, a po chwili usiadł obok niej.

Czuła się nieswojo i postanowiła go zignorować, koncentrując się na swoim pasie bezpieczeństwa. Spod rzęs przyglądała się, jak Dillon przyciska różne guziki i uruchamia silnik samolotu. Po chwili samolot wzbił się w powietrze i poszybował w stronę nieba. Morze otworzyło się pod nimi.

- Kauai to naturalny raj - Dillon zaczął tonem przewodnika turystycznego. Odchylił się na fotelu i zapalił papierosa. - Na północy mamy rzekę Wailua, która wpada do Fern Grotto. Roślinność jest tam wyjątkowa. Rozciągają się tam kilometry pięknych plaż, wspaniałe pola trzciny i uprawy ananasów. Warte zobaczenia są również wodospady Opeakea, zatoka Hanalei i wybrzeże Na Pali. Na południu zaś - kontynuował - mamy park stanowy Kokee i kanion Waimea. Można tam podziwiać tropikalne drzewa i cudowne kwiaty w ogrodach Olopi i Menehune. W zasadzie na całej wyspie można uprawiać wszelkie sporty wodne. Dlaczego, do diabła, tu przyjechałaś?

To ostatnie pytanie, wypowiedziane tak niespodziewanie i tym samym tonem co informacje o krajobrazie, wyrwało Laine z rozmyślań. Popatrzyła na niego zdziwiona.

- Żeby... żeby zobaczyć się z ojcem.

- Nie można powiedzieć, że ci się spieszyło - mruknął Dillon pod nosem i spojrzał uważnie. - Zgaduję, że byłaś bardzo zajęta, kończąc tę swoją ekskluzywną szkołę.

Laine zmarszczyła brwi na myśl o szkole z interna-

tem, która przez ostatnie piętnaście lat była jednocześnie jej domem i azylem. Pomyślała, że Dillon to jakiś wariat i że nie ma sensu sprzeczać się z nim.

- Cieszę się, że to rozumiesz - odparła chłodno. - Żałuj, że nie mogłeś tego doświadczyć. To niesamowite, jak dobrze takie życie wpływa na brak ogłady.

- Nie, dziękuję, księżniczko. - Wypuścił kłęby dymu. - Mnie tam brak manier nie przeszkadza.

- Wygląda na to, że masz naprawdę odpowiednie przygotowanie.

- Radzę sobie. Życie na wyspie odbiega czasem od powszechnie przyjętych standardów cywilizacyjnych. - Uśmiechnął się blado. - Wątpię, czy będzie odpowiadało twoim potrzebom.

- Potrafię być bardzo elastyczna, panie O'Brian. Potrafię też znosić cierpliwie czyjaś arogancję, ale krótko. Dwadzieścia osiem minut akurat mieści się w moim limicie.

- Rewelacyjnie. Powiedz mi, panno Simmons - kontynuował z przesadnym szacunkiem - jak wygląda życie w Europie?

- Cudownie. - Zaskoczona pytaniem pochyliła głowę i przyjrzała mu się spod runda kapelusza. - Francuzi są tacy kosmopolityczni, tacy otwarci, kulturalni. Czujesz się - naśladując matkę, uzupełniła swoją wypowiedź gestykulacją i francuskim zwrotem - *chez soi*, jak wśród ludzi o podobnych upodobaniach.

- No tak - zauważył ironicznie Dillon. Spojrzał w niebo i dodał: - Raczej nie znajdziesz na Kauai ludzi, którzy mają upodobania podobne do twoich.

- Może nie. Ale może wyspa wyda mi się równie urocza jak Paryż.

- Jestem pewien, że znalazłaś tam sobie jakiegoś sympatycznego mężczyznę - powiedział, gasząc papierosa.

Laine wyczuła nawrót gniewu w głosie Dillona. Wspomnienie tych kilku żalonych facetów, z którymi była w bliższym kontakcie, sprawiło, że powstrzymała się od wybuchu śmiechu.

- Mężczyźni, których znam - wyjaśniła - to osoby kulturalne, eleganckie i dobrze wychowane. To ludzie o wysokiej inteligencji i wyrobionym smaku, o dobrych manierach i dużej wrażliwości. O cechach, których, jak na razie, nie mogę znaleźć u Amerykanów.

- Doprawdy? - spytał.

- Zdecydowanie tak - odparła dobitnie.

- No cóż, taką opinię należy podtrzymywać. - Przełączył sterowanie na automatycznego pilota, odwrócił się w jej stronę i chwycił ją w objęcia. Przywarł ustami do jej warg, nim zdążyła zareagować.

Była zamknięta w jego silnym uścisku. Oszołomiona jego zapachem, smakiem i dotykiem nie próbowała się wyrwać. Rozchylił jej wargi swoim językiem. Wylękona, że doznanie może być silniejsze, niż była w stanie sobie wyobrazić, przerwała pocałunek, gwałtownie chwytając Dillona za koszulę.

Dillon szarpnął głową i unióśł brwi na widok jej zdziwionych oczu. Odchylił się, włączył ponownie ręczne sterowanie i skoncentrował się na pilotowaniu samolotu.

- Wygląda na to, że twoi francuscy kochankowie nie nauczyli cię rozumieć amerykańskich zachowań.

Urażona i jednocześnie wściekła na siebie za swoją słabość, która ją ogarnęła przed chwilą, spojrzała na niego i odparła: - Pańskie zachowanie, panie O'Brian, jest równie szorstkie i nieładzone, jak pan sam.

Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu i wzruszył ramionami.

- Powinnaś być wdzięczna, księżniczko, że zwyczajnie nie wyrzuciłem cię za drzwi. Walczyłem z tą myślą przez dwadzieścia minut.

- Lepiej hamuj takie zapędy, drogi panie - warknęła Laine, czując, jak złość pulsuje w niej z niebezpieczną siłą.

Nie stracę nerwów, pomyślała. Nie dam mu satysfakcji i nie pozwolę, by zobaczył, jak bardzo mnie zirytował.

Niespodziewanie samolot zanurkował w stronę morza, które nagle znalazło się niezwykle blisko. Niebo, woda i chmury zawirowały jej przed oczami, mieszając się w jedną bladoniebieską masę, gdy samolot wykonał kilka szalonych podskoków. Laine wcisnęła się głęboko w fotel i zamknęła oczy, licząc na to, że ta masa wody i nieba zniknie z jej mózgu. Nie była w stanie zaprotestować, ponieważ głos i serce zamarły w niej już przy pierwszym obrocie. Modliła się tylko, by jej żołądek nie reagował na to, co dzieje się wokół. Dillon wyrównał lot i zaczął podchodzić do lądowania. W głowie Laine nadal wszystko wirowało. Usłyszała głośny, szczerzy śmiech pilota.

- Panno Simmons, może już pani otworzyć oczy. Za chwilę lądujemy.

Spojrzała na niego złowrogo i wybuchnęła potokiem słów, poddając wnikliwej analizie jego charakter. W pewnej chwili zorientowała się, że mówi to wszystko po francusku, na zakończenie więc dodała oziębło:  
- Pan, panie O'Brian, jest najbardziej wstrętnym facetem, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

- Dziękuję, księżniczko - odparł uradowany i zaczął nucić pod nosem.

Laine zmusiła się do niezamykania oczu, gdy Dillon zaczął kierować maszynę na płytę lotniska. Zatrzymali się i wówczas, jeszcze oszołomiona, zauważyła hangary oraz rzędy rozmaitych samolotów, od awionetek po pasażerskie odrzutowce. To jakaś pomyłka, przemknęło jej przez głowę. To wszystko nie może należeć do mojego ojca.

- Nic nie kombinuj, księżniczko - Dillon skomentował jej osłupiały wyraz twarzy. Jego usta zacisnęły się. - Straciłaś prawo do swoich udziałów. I nawet gdyby kapitan planował być szczodry, to jego partner skomplikuje sprawy. Musisz poszukać sobie innego miejsca do zdobycia łatwych pieniędzy.

Zeskoczył na ziemię, a Laine przypatrywała się mu z niedowierzaniem. Odpięła swój pas i przymierzyła się do zeskoku, kiedy chwycił ją wpół. Przez chwilę nie pozwalał jej dotknąć stopami ziemi. Jej twarz była tuż przy jego i Laine miała wrażenie, że Dillon zniewala ją swym wzrokiem. Nigdy nie widziała oczu tak niesamowicie, fascynująco zielonych.

- Patrz pod nogi - ostrzegł ją i postawił na ziemi.

Laine cofnęła się, wystraszona wrogim tonem. Po chwili zebrała się na odwagę, uniosła brodę i spytała:

- Panie O'Brian, czy byłby pan tak miły i powiedział mi, gdzie mogę znaleźć mojego ojca?

Przyglądał się jej przez chwilę z wahaniem. Laine wystraszyła się, że nic nie odpowie i zostawi ją tu, ale Dillon uniósł gwałtownie dłoń i wskazał mały, biały budynek.

- Tam jest jego biuro - warknął, zanim się odwrócił i odszedł.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Kiedy wchodziła do budynku, dygotała ze zdenerwowania. Kolana miała miękkie, a serce biło jej tak mocno, że zdawało się rozsadzać piersi. Co powie mężczyźnie, który zostawił ją samotną na całe piętnaście lat? Jakie słowa wypełnią tę przepaść i wyrażą pragnienia, które nie umarły przez ten czas rozłąki? Czy powinna zadawać pytania, czy raczej zapomnieć o wszystkich wątpliwościach i po prostu zaakceptować istniejący stan rzeczy?

Wyobrażenie o tym, jak wygląda James Simmons, było tak wyraźne i żywe, jakby widziała się z nim wczoraj. Upływ czasu ani odrobinę nie zniekształcił tego obrazu. Będzie trochę starszy, pomyślała, tak jak i ja jestem starsza. Nie była już dzieckiem, które jechało do swojego idola, tylko kobietą, która miała spotkać się z ojcem. Obydwoje nie byli już tymi samymi ludźmi, ale może będzie to zaletą, a nie wadą w ich wzajemnych relacjach.

W pierwszym pomieszczeniu, wyposażonym w wiklinowe meble, nie było nikogo. Rozejrzała się wokół i poczuła się dość niepewnie. Nagle, przez uchylone drzwi, dotarł do niej głos. Podążając za nim, zobaczyła ojca siedzącego za biurkiem i rozmawiającego przez telefon.

Zauważyła zmiany, jakich dokonał czas na jego obliczu, ale cieszyła się, że ogólne wspomnienie wyglądu ojca było bliskie prawdzie. Na pociemniałej od słońca twarzy przybyło zmarszczek, ale czuła, że te rysy nie są jej obce. Gęste brwi posiwiały, ale nadal pięknie podkreślały brązowe oczy. Nad wąskimi ustami, jak zapamiętała, był prosty i wydatny nos. Włosy, choć mocno posiwiałe, wciąż były lśniące i gęste. Z przyjemnością zauważyła, że poprawia je tym samym, tak dobrze znajomym, ruchem dłoni.

Kiedy odłożył słuchawkę, przełknęła ślinę i powiedziała miękko, jak kiedyś.

- Czołem, kapitanie.

Odwrócił gwałtownie głowę i zobaczyła zaskoczenie malujące się na jego twarzy. W oczach przewijała się cała gama emocji, wśród których, jak się zdawało, dominował ból. Wstał zza biurka i z zaskoczeniem zauważyła, że był dużo niższy, niż zapamiętała go jako dziecko.

- Laine?

Wahanie i rezerwa w pytaniu powstrzymały ją przed rzuceniem się w jego ramiona. Uświadomiła sobie, że być może wcale nie ma ochoty jej przytulić, i przejęła ją to na tyle, że niepewny uśmiech zniknął z jej ust.

- Miło cię widzieć. - Zrobiła niepewny krok w jego stronę i wyciągnęła rękę przed siebie.

Po chwili on również wyciągnął dłoń. Krótko uściśnął jej rękę, po czym cofnął się.

- Urosłaś - zauważył powoli, z niewyraźnym uśmiechem na ustach. - Przypominasz teraz swoją matkę. I nie masz już warkoczków.



Uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Już od jakiegoś czasu ich nie noszę. Nie ma nikogo, kto mógłby je wiązać. - Zauważyła, że znowu przyjął postawę pełną rezerwy, szybko więc zmieniła temat.

- Masz swoje lotnisko, musisz być bardzo szczęśliwy. Chętnie je obejrzę.

- Zorganizujemy to jakoś. - Jego ton był uprzejmy, choć bezosobowy.

Laine spojrzała przez łzy i zauważyła:

- Naprawdę robi wrażenie.

- Dziękuję, jesteśmy z niego bardzo dumni. - Odchrząknął i przyjrzał się jej ostrożnie. - Jak długo będziesz na Hawajach?

Chwyciła się parapetu. W najgorszych przeczuciach nie była przygotowana, że to tak zaboli.

- Może kilka tygodni, nie mam jasno określonych planów. Przyjechałam... przyjechałam prosto tutaj - odparła, starając się, by jej głos zabrzmiał równie obojętnie. Odwróciła się i zaczęła mówić. Mówiła cokolwiek, byle zagłuszyć pustkę w głowie. - Na pewno jest tu sporo rzeczy, które warto zobaczyć. Pilot, który mnie przywiózł, opowiadał, że Kauai jest pełna pięknych ogrodów i parków. - Z przyklejonym, sztucznym uśmiechem zapytała: - Może mógłbyś polecić mi jakiś hotel?

Przyglądał się jej i Laine z trudem udawało się zachować uśmiech.

- Jeśli chcesz, możesz przez ten czas mieszkać u mnie.

Schowała swoją dumę do kieszeni i skwapliwie przystała na propozycję. Wiedziała, że nie stać by jej było na mieszkanie gdziekolwiek indziej.

- To bardzo miłe z twojej strony, chętnie skorzystam. Kiwnął głową i zebrał papiery z biurka.

- A jak twoja matka?

- Zmarła - odpowiedziała cicho. - Trzy miesiące temu. Uniósł gwałtownie wzrok. Zobaczyła skurcz bólu, który przebiegł przez jego twarz. James usiadł w fotelu.

- Przykro mi, Laine. Czy była chora?

- To był... - Przełknęła z trudem. - To był wypadek samochodowy.

- Rozumiem. - Odkaslnął i dodał ponownie beznamiętnym tonem: - Gdybyś napisała, mógłbym przyjechać i pomóc ci.

- Naprawdę? - Odwróciła się w stronę okna. Przypomniała sobie chwile paniki, odrętwienia, niekończące się listy długów, wyprzedaż wszystkiego, co miało jakąś wartość. - Jakoś sobie poradziłam.

- Laine, dlaczego przyjechałaś? - Chociaż jego głos złagodniał, to mężczyzna nadal przezornie pozostał za biurkiem.

- Zobaczyć ojca - powiedziała cicho, głosem pozabawionym emocji.

- Kapitanie.

Na dźwięk głosu Dillona Laine odwróciła się w stronę drzwi. Dillon zlustrował ją wzrokiem, po czym zwrócił się do jej ojca:

- Chambers odlatuje zaraz na stały ląd i chciałby się przedtem z tobą zobaczyć.

- Laine - Kapitan zwrócił się do córki. - To jest Dillon O'Brian, mój partner. Dillon, to jest moja córka.

- Spotkaliśmy się już - wyjaśnił Dillon z uśmiechem.

Laine skinęła głową.

- Tak, pan O'Brian był tak miły i przywiózł mnie tutaj z Oahu. To była wyjątkowa podróż.

- W porządku. - Kapitan podszedł do Dillona i klepnął go po ramieniu. - Zaprowadź Laine do domu, dobrze? I dopilnuj, żeby się rozgościła. Na pewno jest bardzo zmęczona.

- Z przyjemnością. - Dillon skinął głową.

- Będę w domu za kilka godzin - powiedział do córki.

- Jasne. - Napięte mięśnie twarzy już zaczęły ją boleć od przyklejonego uśmiechu, pozwoliła im więc odpocząć. - Dziękuję.

Kapitan zawahał się przez chwilę, po czym wyszedł z pokoju, zostawiając Laine zapatrzoną w pustkę. Nie płacz, nakazała sobie w myślach. A już na pewno nie w obecności tego faceta. Poza dumą nic ci już nie pozostało.

- Kiedy tylko będziesz gotowa, panno Simmons, możemy jechać.

- Mam nadzieję, że samochód prowadzi pan ostrożniej niż samolot, panie O'Brian.

- Chodźmy sprawdzić. - Wzruszył ramionami.

Spojrzała na swoje bagaże, potem na Dillona.

- Mam wrażenie, że czekałeś na mnie.

- Prawdę mówiąc, miałem nadzieję - zaczął, pakując torby na tył lśniącego, małego samochodu - że wywożę cię razem z walizkami tam, skąd przyjechałaś, ale najwyraźniej na razie jest to niemożliwe. - Otworzył drzwi i wsiadł.

Zajęła miejsce obok. Ruszył tak gwałtownie, że wcisnęła ją w fotel.

- Co ty mu powiedziałaś? - nie owijając w bawełnę, zażądał wyjaśnień.

- To, że jesteś partnerem mojego ojca w interesach, nie upoważnia cię jeszcze do ingerowania w nasze prywatne sprawy - odpowiedziała urażona.

- Posłuchaj, księżniczko, nie zamierzam stać obojętnie, kiedy tak ładujesz się w życie kapitana i przynosisz kłopoty. Nie podobało mi się to, jak na ciebie patrzył. Dałem ci dziesięć minut, i udało ci się go skrzywdzić. Nie każ mi zatrzymywać samochodu, żeby wyciągnąć z ciebie to, co mu powiedziałaś. - Zrobił pauzę i zniżył głos. - Wiesz dobrze, że moje metody nie są zbyt wyszukane.

Czuła się zbyt zmęczona, by się z nim droczyć. Bezsenne noce, dni pełne napięcia i lęku oraz nużąca podróż kosztowały ją sporo zdrowia. Machinalnie zsunęła kapelusz z głowy. Wsparła głowę o oparcie fotela i zamknęła oczy.

- Panie O'Brian, nie miałam zamiaru ranić mojego ojca. W ciągu tych dziesięciu minut udało nam się powiedzieć sobie niezmiernie mało. Być może przygnębiła go informacja o śmierci mojej mamy, ale o tym i tak dowiedziałyby się prędzej czy później.

- Kiedy to się stało?

- Trzy miesiące temu - westchnęła i odwróciła twarz w jego stronę. - Wjechała na słup telegraficzny. Powiedzieli mi, że zginęła na miejscu.

Do tego bezboleśnie, bo skutecznie znieczulona kilkoma kieliszkami szampana, dodała w myślach.

Dillon zamilkł i Laine była mu wdzięczna, że darował sobie jakieś wyświechtane formułki współczucia czy sympatii. Miała ich już serdecznie dość i ta cisza była dużo przyjemniejsza. Przez chwilę przyglądała się jego opalonej twarzy, ostrym rysom i nieustępliwym ustom. Potem odwróciła się do okna.

Poczuła zapach Pacyfiku. Połyskująca, błękitna woda rozbijała się o złote plaże. Widok zapierał dech w piersiach.

Dillon skręcił w drogę strzeżoną przez dwie potężne palmy. Kiedy podjechali pod dom, Laine po raz pierwszy tego dnia poczuła, że coś sprawiło jej przyjemność.

- Przepiękny - powiedziała na widok budynku.

- Nie tak wymyślny, jakiego być może się spodziewałaś - zripostował, zatrzymując samochód na końcu drogi. - Ale kapitanowi się podoba. - Jego głos brzmiał pojednawczo.

Wysiadł z samochodu i zajął się bagażami.

Laine nie skomentowała tych słów. Także wysiadła i osłaniając oczy przed słońcem, przez chwilę przyglądała się posiadłości swego ojca. Wspięli się po kilku stopniach na owalny taras. Dillon otworzył drzwi i wszedł do domu. Wśliznęła się niepewnie za nim.

- Zamknij drzwi od mojego domu. Muchy nie są tu mile widziane.

Spojrzała w górę i zobaczyła niezwykle piękną, dojrzalą kobietę, schodzącą ze schodów z lekkością młodej dziewczyny. Laine patrzyła na nią z podziwem i zasko-

czeniu. Kobieta była ubrana w zwiewną, bajecznie kolorową, hawajską suknię, zwaną muumuu. Błyszczące, czarne włosy miała ciasno związane z tyłu głowy. Gładka skóra w kolorze ciemnego miodu i iskrzące, głęboko osadzone oczy powodowały, że trudno było określić jej wiek. Mogła mieć zarówno trzydzieści, jak i sześćdziesiąt lat. Dostojnie podeszła do Laine, stojącej u stóp schodów.

- Kto to jest? - zapytała Dillona, skrzyżowawszy ramiona na obfitym biuście.

- To jest córka kapitana.

- Córka kapitana Simmons'a. - Wydęła usta i zmrużyła oczy. - Ładniutka, tylko trochę zbyt blada i chuda. Czy ty nic nie jesz?

- Nie, dlaczego...

- Widać niewystarczająco - przerwała i wskazała z zainteresowaniem na włosy Laine, w których połyskiwało słońce. - Bardzo ładne. Wprost piękne. Dlaczego nosisz taką krótką fryzurę?

- Ja...

- Powinnaś przyjechać tu wiele lat temu. - Pokiwała głową i poklepała Laine po policzku. - Musisz być zmęczona. Przygotuję twój pokój.

- Dziękuję. Ale ja...

- A potem coś zjesz - zawyrokowała i wciągnęła dwie torby Laine po schodach na górę.

- To była Miri - wyjaśnił Dillon, po czym włożył ręce do kieszeni. - Ona prowadzi ten dom.

- To da się zauważyć. - Nie mogła się powstrzymać i uniosła dłoń do swoich włosów, zastanawiając się nad

ich długością. - Czy nie powinieneś pomóc jej wnieść bagaże na górę?

- Miri mogłaby mnie wnieść po schodach bez zadyzki. Poza tym wiem, że lepiej jej nie przeszkadzać, jeśli uzna coś za swój obowiązek. Chodź. - Chwycił ją za ramię i pociągnął w głąb holu. - Zrobię ci drinka.

Dillon wszedł przez podwójne drzwi do gabinetu. Wyglądało na to, że czuje się w tym domu bardzo swobodnie. Laine rozglądała się po pokoju. Jego ściany pomalowane były na kremowo. Królowała tu prostota, a wszystko błyszczało czystością. Laine zauważyła z westchnieniem smutku, że najwyraźniej nie ma w tym domu miejsca dla jeszcze jednej kobiety. Wystrój wnętrza wskazywał na to, że mieszka tu mężczyzna i że to jego wygody i oczekiwania brano pod uwagę, gdy urządzano dom.

- Na co masz ochotę? - Pytanie Dillona przerwało jej rozmyślenia. Potrząsnęła głową i położyła kapelusz na małym stoliku.

- Na nic. Dziękuję.

- Rozgość się. - Przygotował sobie drinka i opadł na krzesło. - My tu nie przywiązujemy wielkiej wagi do etykiety, księżniczko. Podczas pobytu tutaj będziesz musiała przywyknąć do prymitywnych zachowań.

Laine postawiła torebkę obok kapelusza.

- Ale wolno mi chyba umyć ręce przed obiadem?

- Jasne - odpowiedział, ignorując jej sarkazm. - Wody mamy pod dostatkiem.

- A gdzie pan mieszka, panie O'Brian?

- Tutaj. - Wyciągnął przed siebie nogi i popatrzył na jej zaskoczoną minę z uśmiechem satysfakcji. -

Przez tydzień lub dwa. Mój dom wymaga teraz drobnych przeróbek.

- Co za pech - skomentowała i zaczęła przechadzać się po pokoju. - Dla nas obojga.

- Jakoś to przeżyjesz, księżniczko. - Uniósł swoją szklankę w jej kierunku. - Jestem pewien, że miałaś już wiele doświadczeń z przetrwaniem w trudnych warunkach.

- Tak, miałam, panie O'Brian, ale odnoszę wrażenie, że pan nie ma o tym zielonego pojęcia.

- Niezły charakterek, panienko. Muszę ci to przyznać. - Wypił swojego drinka i spojrzał na nią groźnie. - Przyjechałaś po więcej pieniędzy? Czy to możliwe, że jesteś aż tak pazerna? - Wstał raptownie z krzesła, przeszedł przez pokój i chwycił ją za ramiona, zanim zdążyła uchylić się przez wybuchem jego niekontrolowanej złości. - Czy nie wydusiłaś z niego wystarczająco wiele? Do tego nie dałaś mu nic w zamian. Nigdy, przynigdy nie zadałaś sobie trudu, żeby odpisać na którykolwiek z jego listów. Pozwoliłaś, aby lata mijały, a ty nie dawałaś znaku życia. Czego, u diabła, teraz chcesz od niego?

Dillon zatrzymał się nagle. Rumieniec gniewu zbladł na jego twarzy, ustępując miejsca marmurowej bladości. Laine stała oszołomiona. Czuła, że ledwie trzyma się na nogach. Dillon podtrzymał ją i przyjrzał się jej z nagłym zaskoczeniem.

- Co się z tobą dzieje?

- Ja... Panie O'Brian, myślę, że chętnie bym się jednak napiła, jeśli nie sprawi to panu kłopotu.



Zmarszczył brwi, ale posadził ją na krześle, zanim poszedł po drinka. Podziękowała mu szeptem. Poczowała przeszywający dreszcz, gdy spróbowała mocnej brandy. Pokój przestał wirować jej przed oczyma.

- Panie O'Brian. Ja jestem... Ja nie rozumiem...

- Zaniemówiła na chwilę i zamknęła oczy. - Twierdzi pan, że mój ojciec pisał coś do mnie?

- Doskonale wiesz, że tak. - Odpowiedź była szybka i nerwowa. - Przyjechał na wyspę zaraz po tym, gdy ty i twoja matka go zostawiłyście. Pisał do ciebie regularnie. Dopiero pięć lat temu się poddał. Nadal wysyłał pieniądze - dodał, zapalając zapalniczkę. - O tak, pieniądze płynęły aż do zeszłego roku, kiedy to skończyłaś dwadzieścia jeden lat.

- Kłamiesz!

Dillon patrzył ze zdumieniem, jak wstała z krzesła, a jej oczy i policzki rozpalone były gniewem.

- Proszę, proszę. Wygląda na to, że emocje cię ponoszą. Bryła lodu zaczyna się roztapiać. - Wypuścił obłok dymu i dodał delikatnie: - Ja nigdy nie kłamię, księżniczko. Prawda wydaje mi się bardziej interesująca.

- Nigdy do mnie nie napisał. Nigdy! - Podeszła do miejsca, w którym siedział Dillon. - Ani razu przez te długie lata. Wszystkie wysłane przeze mnie listy wracały, ponieważ ojciec się wyprowadził, nie informując mnie nawet dokąd.

Dillon zgasił papierosa i wstał, aby spojrzeć jej w twarz.

- I myślisz, że ja to kupię? Sprzedajesz swoją bajeczkę

niewłaściwej osobie, panno Simmons. Widziałem listy, które Kapitan wysyłał. Widziałem też czeki. Co miesiąc.

- Powiodł palcem wzdłuż lamówki jej kostiumu. - Wygląda na to, że zrobiłaś z nich niezły użytek.

- Mówię ci, że nigdy nie dostałam żadnego listu.

- Odtrąciła jego rękę i odchyliła głowę, aby spojrzeć mu w oczy. - Nie otrzymałam od mojego ojca ani jednego słowa, odkąd skończyłam siedem lat.

- Panno Simmons, wysłałem osobiście co najmniej kilka listów, chociaż kusiło mnie, żeby je wrzucić do Pacyfiku. Podobnie jak prezenty, początkowo lalki, a potem biżuterię. Pamiętam doskonale prezent na twoje osiemnaste urodziny. Kolczyki z opali w kształcie kwiatków.

- Kolczyki - wyszeptała. Poczują, że pokój ponownie wiruje jej przed oczami. Zagryzła wargi i potrząsnęła głową.

- Dokładnie - potwierdził. Jego głos był szorstki. Podszedł i nalał sobie ponownie. - Wszystkie były wysyłane na ten sam adres, rue de la Concorde numer 17, Paryż.

Laine zbladła ponownie i uniosła dłoń do skroni.

- To adres mojej matki - jęknęła i odwróciła się, aby usiąść, zanim nogi odmówią jej posłuszeństwa. - Ja byłam w szkole. To matka tam mieszkała.

- Tak. - Dillon pociągnął łyk i rozsiadł się ponownie na sofie. - Twoja nauka trwała długo i była bardzo kosztowna.

Laine pomyślała przez chwilę o szkole z pensjonatem, o paskudnych, mdłych posiłkach, drelichowych

mundurkach i przeciekającym dachu. Przycisnęła dłonie do oczu.

- Nie miałam pojęcia, że to właśnie ojciec płacił za moją szkołę.

- A jak sądziłaś, kto płacił za twoje francuskie sukieneczki i zajęcia ze sztuki?

Westchnęła, dotknięta ostrym tonem jego głosu. Ręce zaczęły jej drżeć, więc opuściła je na kolana.

- Vanessa... moja matka mówiła, że ma dochody. Nigdy jej nie pytałam o szczegóły. Musiała ukrywać przede mną listy od ojca.

Jej głos był coraz słabszy. Dillon poruszył się niecierpliwie.

- Czy takie przedstawienie zamierzasz odgrywać przed kapitanem? Robisz to bardzo przekonująco.

- Nie, panie O'Brian. To chyba zresztą nie ma znaczenia, prawda? W każdym razie wątpię, że uwierzyłyby mi choć odrobinę bardziej niż pan. Skrócę moją wizytę i wrócę do Francji. - Uniosła brandy i wpatrywała się w złocisty płyn, zastanawiając się, czy to z powodu trunku czuła odrętwienie całego ciała. - Potrzebuję tygodnia lub dwóch. Byłabym wdzięczna, gdyby nie wspominał pan ojcu o naszej rozmowie. To by tylko wszystko skomplikowało.

Dillon zaśmiał się krótko i wypił kolejny łyk.

- Nie mam najmniejszego zamiaru opowiadać mu ani słowa z tej bajeczki.

- Daje mi pan słowo, panie O'Brian?

Dillon spojrział na nią zaskoczony lękiem, jaki można było wyczuć w jej głosie.

- Chcę, żeby dał mi pan słowo - dodała, patrząc mu zdecydowanie w oczy.

- Ma pani moje słowo, panno Simmons - zgodził się po dłuższej chwili.

Laine skinęła głową, wstała i podniosła ze stolika kapelusz oraz torebkę.

- Chciałabym teraz pójść do mojego pokoju. Jestem bardzo zmęczona.

Dillon siedział wpatrzony w swoją szklankę. Laine wyszła z pokoju, nie odwracając się za siebie.

### ROZDZIAŁ TRZECI

Laine przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze. Zobaczyła bladą twarz z podkrążonymi oczami. Wyjęła kosmetyki i nałożyła trochę różu na policzki.

Z perspektywy czasu zaczęła dostrzegać desperacką, egoistyczną pogoń matki za przemijającą młodością i urodą. Dojrzała, zgrabna córka stała się raczej przeszkodą niż powodem do dumy. Ona całe życie bała się porażki, myślała Laine o matce. Bała się stracić swój wygląd, przyjaciół i mężczyzn. Przez te wszystkie lata pozwoliła mi myśleć, że ojciec o mnie zapomniał. Spojrzała przez okno nic niewidzącymi oczyma. Izolowała mnie od niego. Nawet od jego listów. Nie cierpię jej za to, Boże, jak ja jej nie znoszę. Nie chodzi o pieniądze, ale o to, że kłamała i że przez nią tyle straciłam. Pewnie korzystała z nadsyłanych pieniędzy, żeby utrzymać swój apartament w Paryżu, żeby kupować te wszystkie stroje i urządzać imprezy. Laine zacisnęła powieki. Była oburzona. Przynajmniej teraz wiem, dlaczego zabrała mnie ze sobą do Francji. Byłam jej polisą ubezpieczeniową. Wykorzystywała mnie przez blisko piętnaście lat. Laine poczuła, że łzy płyną jej spod zamkniętych powiek. Och, jak kapitan musi mnie nienawidzić. Jaka muszę być w jego oczach niewdzięczna i wyrachowa-

na. Nigdy nie uwierzy mi, jak było naprawdę. Westchnęła, wspominając, jak ojciec zareagował na jej widok. „Przypominasz teraz swoją matkę”. Otworzyła oczy, podeszła do lustra i ponownie przyjrzała się swojej twarzy.

Stwierdziła, że miał rację. Powiodła palcem wzdłuż kości policzkowych. Wystarczyło, że na mnie popatrzył, i widział moją matkę. Będzie myślał podobnie jak Dillon O'Brian. Jak mogłam oczekiwać czegokolwiek innego? Przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze. Ale być może, pomyślała, wydymając dolną wargę, przez tydzień lub dwa uda mi się uratować cokolwiek z tego, co nas kiedyś łączyło. Jakaś część naszej przyjaźni. Ale nie może myśleć, że przyjechałam tu po pieniądze. Nie może nawet domyślać się, jak niewiele mi ich zostało. Ale przede wszystkim muszę uważać na O'Briana.

Wstrętny facet, pomyślała i poczuła, jak zalewa ją nowa fala gniewu. On jest z pewnością najgorzej wychowanym i pozbawionym manier mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Kapitan musiał przygarnąć go z litości i uczynił swoim partnerem. Już w jego spojrzeniu widać bezczelność, pomyślała i poprawiła fryzurę. Stale na mnie patrzy tak, jakby zastanawiał się, co będę czuła w jego objęciach. Paskudny typ. Odłożyła szczotkę do włosów i ponownie przyjrzała się sobie. Jest po prostu nieokrzesanym, aroganckim kobieciarzem. Wystarczy przypomnieć sobie jego zachowanie w samolocie.

Jak czuła się podczas lotu? Przecież już całowałaś się z facetami, tłumaczyła sobie, żeby odpędzić od siebie rosnące podekscytowanie wspomnieniami. Ale nie

w taki sposób, podszeptnął jej wewnętrzny głos. Nigdy w taki sposób.

- Och, do diabła z Dillonem O'Brianem - powiedziała głośno.

W chwili gdy chciała właśnie opuścić swoją sypialnię, usłyszała męskie głosy. Było to dla niej czymś nowym, gdyż przywykła do towarzystwa kobiet. Była to jednak przyjemna odmiana. Cicho zeszła w dół schodów i podeszła do drzwi.

Siedzieli wygodnie, gdy Laine weszła do pokoju. Dillon rozparty na sofie. Jej ojciec na krześle. Unosił się dym z fajki. Obaj byli tak zrelaksowani i usatysfakcjonowani swoim towarzystwem, że Laine poczuła pokusę, aby wrócić do pokoju i nie przeszkadzać im. Czuła się jak intruz wkradający się w ich świat. Ukłucie zawiści przeszło jej serce, zrobiła krok wstecz.

Jej ruch zwrócił uwagę Dillona. Jego wzrok sparaliżował i unieruchomił ją mocniej, niż mogłyby to zrobić jego ramiona. Już zdążyła przebrać się ze swej wyszukanej garsonki, którą nosiła podczas podróży, w prostą białą sukienkę ze swojej własnej garderoby. Kapitan podążył za pozbawionym uśmiechu wzrokiem Dillona i uniósł się z miejsca, widząc Laine. Rozluźnienie, jakie panowało w tym pokoju, zmieniło się w napięcie.

- Witaj, Laine. Rozgościłaś się?

Laine z trudem przeniosła wzrok z Dillona na ojca.

- Tak, dziękuję. - Wargi miała suche, co było pierwszym sygnałem zdenerwowania. - Pokój jest śliczny. Przepraszam, czy ja wam nie przeszkadzam? - Złączyła dłonie, aby opanować ich drzenie.

- Ależ nie. Wejdz i usiądź. To tylko taka zawodowa pogawędka.

Zawahała się ponownie, zanim weszła w głąb pokoju.

- Czego się napijesz? - Kapitan podszedł do barku i wyjął szklanę. Dillon pozostał milczący na swoim miejscu.

- Nie, dziękuję. - Laine próbowała się uśmiechnąć.

- Dom jest prześliczny. Z mojego okna jest widok na plażę. - Zajęła wolne miejsce na sofie i starała się, aby odległość dzieląca ją od Dillona była jak największa.

- To musi być cudowne, móc pójść popływać, gdy tylko przyjdzie ci na to ochota.

- Już nie pływam tyle co kiedyś. - Kapitan usiadł i zaczął czyścić fajkę. - Kiedyś trochę nurkowałem. Teraz tylko Dillon się w to angażuje. - Laine wyczuła serdeczność w jego głosie, gdy mówił o Dillonie.

- Zauważyłem, że morze i niebo mają wiele wspólnego - skomentował Dillon. Pochylił się i uniósł szklanę. - Wolność i wyzwanie. - Uśmiechnął się. - Nauczyłem kapitana przeszukiwać głębin, a on mnie nauczył latać.

- Obawiam się, że jestem bardziej typem lądowym - odpowiedziała Laine. - Nie mam specjalnych doświadczeń ani w powietrzu, ani w wodzie.

Dillon pociągnął mały łyk ze szklanki. W jego oczach nadal tliło się wyzwanie.

- Umiesz pływać, prawda?

- Jakoś sobie radzę.

- Świetnie. - Wypił kolejny łyk. - Nauczę cię nurkować z maską i rurką. - Odstawił szklanę na stół



i przyjął ponownie wygodną pozycję. - Jutro. Zaczniemy wcześniej rano.

Jego bezceremonialność uderzyła w Laine jak piorun. Ton jej głosu zmienił się w zimny i odpychający.

- Nie chciałabym zajmować panu cennego czasu, panie O'Brian.

Niezrażony chłodem, bijącym z jej wypowiedzi, Dillon kontynuował.

- Ależ to żaden problem. Nie mam żadnych planów aż do popołudnia. Mamy jakiś zapasowy sprzęt, prawda kapitanie?

- Jasne. W pokoju na tyłach domu - odpowiedział.  
- Spodoba ci się, Laine, Dillon jest świetnym nauczycielem, no i doskonale zna okoliczne wody.

- Mam nadzieję, że wie pan, jak bardzo będę zobowiązana za poświęcony mi czas.

- Nie bardziej niż ja, panno Simmons.

- Obiad. - Nagłe wejście Miri przestraszyło Laine.  
- Ty. - Gospodyni wskazała oskarżycielsko palcem na Laine. - Maszeruj jeść. I bez ociągania, proszę. Za chuda jesteś - mruknęła i wyszła.

Kiedy ruszyli do jadalni, Dillon zrównał się z Laine i przytrzymał ją za ramię, pozwalając, by kapitan i Miri poszli przodem.

- Twoje wejście było czarujące. Wyglądałaś jak cudowna, niewinna dziewczyna - szepnęła jej do ucha.

- Nie mam wątpliwości, że zamierza mi pan zaofiarować erotyczne usługi, panie O'Brian, ale - jeśli to możliwe - chciałabym zjeść w spokoju ten posiłek.

- Panno Simmons. - Dillon ukłonił się z przesadną

elegancją i przytrzymał pewniej jej rękę. - Nawet ja potrafię od czasu do czasu zachować się jak dżentelmen i poprowadzić damę do stołu.

- Jeśli wystarczająco skupi się pan na swoim zadaniu, może uda się panu doprowadzić mnie na obiad bez łamania mi ręki.

Zacisnęła zęby i pozwoliła się poprowadzić. Kiedy weszli do oszklonej jadalni, Dillon pomógł jej usiąść przy stole.

- Dziękuję, panie O'Brian. - Spojrzała na niego chłodno. Co za wstrętny typ, dodała w myślach.

Skinął uprzejmie głową. Obszedł stół i opadł na swoje krzesło.

Do jadalni weszła Miri i postawiła przed nią parujący półmisek z rybą. Żeby jej intencje zostały dobrze zrozumiane, wskazała palcem najpierw na półmisek, a następnie na pusty talerz Laine.

Mężczyźni skoncentrowali się na rozmowie dotyczącej spraw zawodowych. Laine jadła w milczeniu, a po skończonym posiłku wróciła do pokoju. Przez chwilę miała wrażenie, że wraz z jej odejściem Dillon i ojciec odetchnęli z ulgą.

Wieczorem tego samego dnia Laine siedziała w swoim pokoju i rozmyślała. W domu panowała cisza. Na niebie pojawił się księżyc, a lekki wiaterek poruszał firankami, niosąc ze sobą zapach tropikalnego powietrza. Laine nie mogła dłużej znieść uczucia samotności. Zeszła na dół i wyszła na zewnątrz. Włączyła się bez celu, nasłuchiwała nawoływań nocnych ptaków, które przesywały ciszę nieznaną jej dotąd muzyką. Wsłuchi-

wała się w szum morza. Zsunęła buty, aby poczuć pod stopami przyjemny dotyk piasku.

Fale rozbijały się o brzeg i wracały do morza. Jego powierzchnia iskrzyła się odbiciem gwiazd. Laine odechnęła głęboko.

Ten raj nie był jednak dla niej. Dillon i ojciec zdecydowali się jej pozbyć. Znowu powtórzyła się ta sama historia. Pamiętała, jak często była traktowana jak intruz podczas wizyt w domu matki w Paryżu. Zastanawiała się, czy ma wystarczająco dużo siły i woli, żeby zachować maskę uśmiechu na twarzy choćby przez tydzień pobytu u ojca. Jej miejsce nie było przy nim, tak samo jak nie było przy Vanessie. Usiadła na piasku, podciągnęła kolana pod brodę i zatopiła się w rozmyślaniach.

- Nie mam chusteczek, więc musisz się bez nich obejść.

Na dźwięk głosu Dillona przeszedł ją dreszcz.

- Odejdź, proszę.

- W czym problem, księżniczko? - zapytał szorstko i niecierpliwie. - Jeśli sprawy nie układają się tak, jak planowałeś, to siedzenie na piasku i zalewanie się łzami nic nie pomoże. Zwłaszcza jeśli wokoło nie ma nikogo, kto mógłby ci współczuć.

- Odejdź - powtórzyła, zakrywając twarz dłońmi.

- Chcę, żebyś mnie zostawił. Chcę być sama.

- Możesz równie dobrze zacząć się do tego przyzwyczajać - odpowiedział niedbale. - Mam zamiar bacznie cię obserwować do chwili, kiedy wrócisz do Europy. Kapitan jest zbyt miękki, żeby oprzeć się na dłuższą metę tak słodkiej i niewinnej osobce.

Laine poderwała się i rzuciła na niego. Zatoczył się przez moment, jakby rażony małym pociskiem.

- On jest moim ojcem. Rozumiesz? Moim ojcem! I mam prawo być z nim. Mam prawo go poznać. - Z wściekłością tłukła go pięściami po torsie. Przyjął ten atak z pewnym zaskoczeniem. Po chwili złapał ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

- Pod tym lodem czai się charakterek! Zawsze możesz powtórzyć swoją bajeczkę i utrzymywać, że nie dostawałaś jego listów.

- Nie chcę jego litości, słyszysz? - Wrywała się i szarpała, ale Dillon trzymał ją, nie wkładając w to większego wysiłku. - Wolałabym, żeby mnie nienawidził, niż traktował obojętnie. Ale wolę już jego obojętność niż litość.

- Uspokój się i przestań się szamotać, do cholery - zażądał. - Przecież nie zrobię ci krzywdy.

- Nie uspokoję się. - Szarpnęła się ponownie. - Nie jestem szczeniakiem, który potrzebuje, żeby go ktoś głaskał po głowie. Zamierzam spędzić tu dwa tygodnie, tak jak zaplanowałam, i nie pozwolę ci tego popsuć. - Odrzuciła głowę do tyłu. Łzy płynęły jej z oczu, ale były to raczej łzy wściekłości niż smutku. - Puść mnie! Nie chcę, żebyś mnie dotykał. - Zaczęła wrywać się z wielką siłą, kopać i omal nie przewróciła ich oboje na piasek.

- W porządku. Wystarczy.

Dillon sprawił, że w głowie jej zawirowało i straciła poczucie czasu. Czuła słony smak łez i silny męski zapach, który należał tylko do niego. Czuła, jak jej skóra robi się gorąca. Rozpaczliwie walczyła z ogarniającym

ją podnieceniem, tak jak walczyła z jego ramionami, które ją więziły. Ich usta złączyły się ponownie. Nagle straciła cały swój upór i pozostała bezwładnie w jego ramionach. Jej wargi stały się miękkie i nie stawiały oporu. Dillon odsunął ją od siebie, lecz Laine, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, przylgnęła do niego, kładąc głowę na jego torsie. Zadrżała, czując, jak jego dłoń gładzi delikatnie jej włosy. Przytuliła się do niego. Nagle odczuła ciepło i po raz pierwszy od bardzo dawna ustąpiło towarzyszące jej uczucie zupełnego osamotnienia. Zamknęła oczy i pozwoliła opaść emocjom.

- Kim ty jesteś, Laine Simmons? - Dillon ponownie odsunął ją od siebie. Uniósł swą silną dłońią jej podbródek, gdyż zmieszana Laine usiłowała opuścić głowę.  
- Spójrz na mnie - zażądał tonem nieznoszącym sprzeciwu. Zmrużył oczy i przyglądał się jej twarzy.

Patrzyła na niego dużymi, okrągłymi oczyma. Łzy płynęły jej po policzkach i błyszczały na rzęsach. Cała wypracowana powściągliwość prysła. Pozostała jedynie wrażliwość. Dillon westchnął ze zniecierpliwieniem.

- Najpierw lód, potem ogień, teraz łzy. Przestań - nakazał, kiedy ponownie chciała pochylić głowę. - Nie jestem w nastroju, żeby testować swoją wytrzymałość.  
- Potrzęsnał głową. - Będą z tobą same kłopoty. Powiniennem być to zauważyć już od pierwszego spojrzenia. Ale jesteś tutaj i musimy uzgodnić warunki.

- Panie O'Brian...

- Dillon, na miłość boską. Przestań się wygłupiać i mówić do mnie po nazwisku.

- Dillon - powtórzyła, pociągając nosem i czując

niechęć do samej siebie. - Nie sadzę, żebym była w stanie logicznie myśleć i rozmawiać na temat warunków. Puść mnie teraz, a jutro możemy spisać kontrakt.

- Nie. Warunki są proste, ponieważ to ja je dyktuję.

- To brzmi niezwykle sensownie. - Ucieszyła się, że ironią jest w stanie zatamować łzy.

- Dopóki tu jesteś - kontynuował łagodnie - będę cię pilnował, jak twój cień. Jestem twoim aniołem stróżem, dopóki nie wrócisz do Europy. Jeśli zrobisz jakiś fałszywy krok w stosunku do kapitana, zniszczę cię tak szybko, że nie zdążysz nawet zamrunąć tymi swoimi niewinnymi oczkami.

- Czy mój ojciec jest tak bezradny, że potrzebuje ochrony przed własną córką? - Otarła ponownie napływające do oczu łzy.

- Nie ma na świecie takiego mężczyzny, który by nie potrzebował ochrony przed tobą, księżniczko. - Pochylił głowę i przyglądał się jej wilgotnej, błyszczącej twarzy. - Jesteś naprawdę niezłą aktorką. A jeśli mylę się co do ciebie, będę cię musiał przeprosić. Ale dopiero wówczas, kiedy się o tym przekonam.

- Możesz się wypchać swoimi przeprosinami.

Dillon zaśmiał się głośno w ten sam ujmujący sposób, jaki zauważyła u niego już wcześniej. Oburzona jego śmiechem i własną reakcją na tego mężczyznę, cofnęła rękę i uderzyła go w twarz.

- O nie! - Dillon chwycił ją za nadgarstek. - Nie pogarszaj sytuacji. Nie zmuszaj mnie, żebym musiał ci oddać. A przy okazji... wyglądasz ślicznie, kiedy się złościś. Jesteś wtedy o wiele bardziej w moim typie niż

ta chłodna *mademoiselle* z Paryża. Posłuchaj, Laine.  
- Zaczerpnął powietrza, żeby powstrzymać śmiech.  
Laine zmieszała się, słysząc, jak wymawia jej imię.  
- Spróbujmy zawieszenia broni. Przynajmniej udawajmy to na zewnątrz. Między nami może toczyć się walka każdej nocy. Z rękawicami lub bez.

- To ci powinno odpowiadać. - Wyswobodziła się z jego słabnącego uścisku. - Masz jedną bardzo znaczącą przewagę - siłę.

- O, tak. - Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.  
- Musisz nauczyć się z tym żyć. Chodź. - W przyjacielskim geście chwycił jej rękę, co wywołało jej konsternację. - Marsz do łóżka. Jutro musisz wcześniej wstać. Nie mam zamiaru tracić poranka.

- Nie idę z tobą jutro. - Wyrwała rękę i zatrzymała się gwałtownie. - Pewnie masz zamiar mnie utopić, a potem ukryć moje ciało w jakiejś zatoczce.

- Laine, jeśli będę musiał wyciągnąć cię jutro rano z łóżka, nurkowanie nie będzie jedyną rzeczą, jakiej się nauczysz. A teraz wrócisz wreszcie do domu czy mam cię zanieść?

- Gdyby twoją arogancję zamknąć w cysternach, Dillonie O'Brianie, nie byłoby nigdy problemu z brakiem paliwa w tym kraju!

Odwróciła się i pobiegła w stronę domu. Dillon patrzył za nią do chwili, gdy w ciemności zniknęła jej biała sylwetka. Potem pochylił się, aby podnieść jej buty.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Poranek był cudowny. Laine, jak zwykle, obudziła się wcześniej. Rozejrzała się dookoła, nie rozumiejąc jeszcze, gdzie się znajduje. Zamiast białych ścian jej mieszkania, ściany były tu zielone, zamiast wyblakłych, pasiastych zasłon - w oknach zawieszono były żaluzje, a zamiast jej biurka stał mahoniowy sekretarzyk, na szczycie którego w pięknym wazonie ułożone były purpurowe kwiaty. Ale tym, co najbardziej ją zaskoczyło, była zalegająca wokół cisza. Cisza, przerywana jedynie od czasu do czasu śpiewem ptaków za oknem. Wspomnienia wróciły. Laine z westchnieniem opadła na poduszki. Pragnęła ponownie zapaść w sen, ale nawyk wczesnego wstawania był w niej zbyt silnie zakorzeniony. Wstała więc, wzięła prysznic i ubrała się.

Przyjaciółka pożyczyła jej kostium kąpielowy. Laine początkowo wzbraniała się, ale ta tak ją namawiała, że w końcu uległa. Teraz stała i przyglądała się dwóm małym skrawkom materiału. Włożyła je na siebie. Było to podobno nowoczesne bikini. Srebrzystoniebieska materia przylgnęła do ciała, podkreślając kształty. Zdaniem Laine, tkanina mogłaby zakrywać większe partie ciała, a nie eksponować nagość.



- Nie przesadzaj - zganiła się i po raz ostatni poprawiła głęboko wycięte majteczki. - Kobiety stale noszą takie rzeczy, a moja figura raczej nie przykuwa uwagi.

Chudzielec, przypomniała sobie uwagę Miri i zrobiła grymas. Bez specjalnej nadziei na oczekiwany rezultat poprawiła też stanik. Włożyła białe džinsy i karminowy top z odkrytymi plecami. Pomyślała, że odsłanianie dekoltu nie było tym, czego potrzebowała w kontaktach z Dillonem O'Brianem.

Kiedy schodziła ze schodów, na dole usłyszała krzątanie. Podeszła cicho, w obawie, że zakłóci poranne zwyczaje tego domu. Złote promienie słońca przez okno rozświetlały jadalnię. Laine stanęła w ich blasku i wyjrzała na zewnątrz. Pod oknem rosły miękkie paprocie i czerwone maki. Ten widok oczarował dziewczynę. Pomyślała, że nie pozwoli, aby cokolwiek zepsuło ten wspaniały dzień. Będzie miała wystarczająco dużo czasu później, w smutne deszczowe poranki we Francji, na myślenie o doznanych upokorzeniach, ale dzisiaj słońce świeci jasno i napełnia nadzieją.

- Widzę, że jesteś gotowa do śniadania. - Z przylegającej do jadalni kuchni wyszła Miri. Wyglądała wdzięcznie, mimo swego wzrostu. I dostojnie, choć miała na sobie, jak zwykle, muumuu w wielkie kwiaty.

- Dzień dobry, Miri. - Laine uśmiechnęła się i wskazała na niebo. - Jest piękne.

- Może słońce doda trochę koloru twojej skórze. - Miri wskazała palcem jasne ramię Laine. - Czerwonego, jeśli nie będziesz ostrożna. A teraz usiądź, zrobię wszystko, żebyś się trochę zaokrągliła. - Władczym ge-

stem poklepała oparcie krzesła, nakazując, by usiadła, a Laine posłusznie wykonała to polecenie.

- Długo pracujesz dla mojego ojca?

- Dziesięć lat. - Miri nalała gorącej kawy do filiżanki. - Mężczyzna nie powinien tak długo żyć bez kobiety. Czy twoja matka też była taka chuda? - kontynuowała, mrużąc oczy.

- Nie... Nie powiedziałałabym... To znaczy... - Laine zawahała się, nie wiedząc, co dla Miri byłoby właściwą wagą.

Miri zaśmiała się głośno. Różowe i pomarańczowe kwiaty na jej sukience podskakiwały do rytmu.

- Nie chcesz powiedzieć, że nie miała aż tak kobiecych kształtów jak ja. - Pogładziła swoje pulchne biodra. - Jesteś piękną dziewczyną - dodała niespodziewanie i pogłaskała jasne loki Laine. - Twoje oczy są zbyt młode, żeby były tak smutne. - Laine patrzyła na Miri bez słowa, z nieznaną jej dotychczas czułością. Miri westchnęła. - Przyniosę ci śniadanie, a ty zjesz wszystko, co ci przygotowałam.

- Podaj od razu dwie porcje, Miri. - Dillon wszedł do jadalni. Wyglądał na bardzo pewnego siebie. Opalona skóra kontrastowała z gładką białą koszulką i krótkimi džinsowymi spodenkami. - Dzień dobry, księżniczko. Dobrze spałaś? - Usiadł na krześle naprzeciwko i nalał sobie kawy. Jego ruchy były swobodne, pozbawione porannej ociężałości, a oczy zupełnie rozbudzone. Laine wywnioskowała, że Dillon O'Brian był taką rzadko spotykaną istotą, która potrafi błyskawicznie przejść od snu do stanu pełnego rozbudzenia. Prze-

mknęło jej przez myśl, że był to jeden z najbardziej atrakcyjnych i najbardziej pociągających mężczyzn, jakich kiedykolwiek spotkała. Starła się nie pokazać po sobie tych odczuć i naśladować jego swobodne zachowanie.

- Dzień dobry, Dillon. Wygląda na to, że dziś będzie kolejny piękny dzień.

- Mamy ich tu całkiem sporo po tej stronie wyspy.

- Po tej stronie? - Laine przyglądała się, jak przeciągnął palcami po włosach, pozostawiając je w uroczym nieładzie.

- Yhm. Po zawietrznej pada prawie codziennie. - Wypił jednym haustem niemal połowę swojej kawy. Laine przytapała się na tym, że przygląda się jego opalonym dłoniom. Wyglądały na silne i mocne przy kruchej, kremowej filiżance. Przypomniała sobie nagle ich dotyk na swoim policzku. - Czy coś się stało?

- Słucham? - Zamrugła i ponownie próbowała skoncentrować uwagę na jego twarzy. - Nie, tylko się zamyśliłam... Będę musiała objechać wyspę, skoro już tu jestem - próbowała improwizować, w pośpiechu poszukując odpowiednich słów. - Czy twój... czy twój dom jest tu gdzieś blisko?

- Niedaleko. - Dillon ponownie uniósł filiżankę, spoglądając znad jej krawędzi.

Laine utkwiała wzrok w swojej kawie, jakby wymagało to wyjątkowej koncentracji.

- Śniadanie! - zawołała Miri, wchodząc do pokoju i niosąc zastawioną po brzegi tacę. - Jedz - rozkazała i nałożyła porządną porcję na talerz Laine. - A potem

wyjdiesz, żebym mogła posprzątać dom. - A ty - wycelowała wielką łychę w stronę Dillona, który napełniał swój talerz - przestań nanosić mi piach na podłogi.

Dillon odpowiedział coś szybko w miejscowym dialekcie i wyszczerzył zawadiacko zęby. Miri zaśmiała się głośno i wyszła do kuchni.

- Dillon - zaczęła Laine, wpatrując się z przerażeniem w talerz pełen jedzenia. - Ja nie dam rady tego wszystkiego zjeść.

Dillon nałożył sobie kolejną porcję jajecznicy i wrzucił ramionami.

- Lepiej się postaraj. Miri postanowiła trochę cię podtuczyć - dodał i wziął jeszcze jeden tost. - Z Miri nie wygrasz. Możesz udawać, że to zupa *bouillabaisse* albo ślimaki.

To ostatnie powiedział z wyczuwalną irytacją w głosie, co nie spodobało się Laine. Instynktownie wzięła stronę Miri.

- Nie mam zastrzeżeń do jakości jedzenia, tylko do jego ilości.

Dillon pozostał niewzruszony. Rozdrażniona, zabrała się do jedzenia. Jedli w milczeniu. Piętnaście minut później Laine, z przerażeniem na twarzy, próbowała sięgnąć po kolejną porcję jajecznicy. Dillon, zniecierpliwiony, wstał od stołu i uniósł ją z krzesła.

- Pęknieś, jeśli zjesz jeszcze trochę. Uratuję cię i zabiorę cię stąd, zanim wróci Miri.

Zacisnęła zęby, mając nadzieję, że w ten sposób wyda się bardziej pokorna.

- Dziękuję - szepnęła.

Kiedy ciągnął ją przez hol w stronę drzwi, na schodach pojawił się kapitan. Zatrzymali się.

- Dzień dobry - przywitał ich. - Szykuje się piękny dzień na naukę nurkowania.

- Nie mogę się doczekać - odparła Laine, próbując uśmiechnąć się w sposób naturalny, co w jego obecności przychodziło jej z trudem.

- Świetnie. Dillon w oceanie czuje się jak ryba w wodzie. - Twarz kapitana rozjaśniła się, kiedy spojrział na mężczyznę u jej boku. Gdy jednak odwrócił się do niej, serdeczność zastąpiła chłodna uprzejmość. - Zobaczymy się wieczorem. Miłego dnia.

- Dziękuję. - Patrzyła, jak odchodzi, i przez chwilę serce zabiło jej mocniej.

Odwróciła się do Dillona i zauważyła, że ten bacznie się jej przygląda. Wyglądał na zaszępionego.

- Dobra, idziemy - powiedział gwałtownie i chwycił ją za rękę. - Pora zaczynać. - Zarzucił sobie torbę ze sprzętem na ramię i wyszedł przed dom. - Gdzie twój kostium?

- Mam go na sobie - odparła.

Mocno wydeptana, zakurzona ścieżka otoczona była z obu stron niezliczoną ilością kwiatów i paproci. Laine zastanawiała się, czy jest jeszcze gdzieś na ziemi miejsce, gdzie przyroda ma tak czyste, żywe kolory, a zieleń tak wiele odcieni. W wilgotnym, morskim powietrzu unosił się intensywny waniliowy zapach. Szli w ciszy, a słońce świeciło coraz mocniej nad ich głowami.

Po dziesięciu minutach Laine, z trudem łapiąc oddech, powiedziała:

- Mam nadzieję, że to już niedaleko. Czuję się, jakbym startowała w maratonie.

Dillon zwolnił tempo. Uśmiechnęła się z zadowoleniem. Każdy, choćby nawet tak mały sukces w kontaktach z nim traktowała jako osiągnięcie. Chwilę później zapomniała o swoim triumfie.

Zatoka była miejscem odosobnionym. Otaczały ją palmy i krzewy hibiskusa o aksamitnych płatkach. Pośród przecudnej, egzotycznej przyrody Kauai to miejsce wydawało się prawdziwą perłą. Woda lśniła i połyskiwała niezliczoną ilością błękitnych refleksów.

Z okrzykami zachwytu zaczęła ciągnąć go pomiędzy palmami w stronę jasnego piasku plaży.

- Och, jak tu pięknie. - Okręciła się wokół własnej osi, jakby chciała mieć pewność, że to wszystko dzieje się naprawdę. - Niepowtarzalnie i cudownie.

Błysk jego uśmiechu niczym orzeźwiająca bryza przegonił wszystkie chmury. Przez krótką chwilę było między nimi więcej cichego zrozumienia niż wrogiego napięcia. Było to uczucie równie niespodziewane, co przyjemne i kojące. Gwałtownie jak zawsze, Dillon przerwał idyllę i podszedł do torby, by wydobyć z niej sprzęt do nurkowania.

- Nurkowanie jest proste, kiedy już opanujesz nerwy i nauczysz się prawidłowo oddychać. Ważne jest, żeby jednocześnie być zrelaksowanym, ale i czujnym - wyjaśniał w prostych słowach podstawowe zasady poruszania się w wodzie. Opowiadając o technikach nurkowania, pomagał jednocześnie w dopasowaniu maski.

- Przećwiczmy to w wodzie. - Podał jej rurkę i maskę.

Ściągnął koszulę i rzucił na torbę. Stanął nad nią i poprawił pasek w swojej masce.

Jego opalony tors był mocno owłosiony. Skóra sprężyste napinała mu się na żebrach. Wyblakłe dzinsy wisały nisko na wąskich biodrach. Z zaskoczeniem poczuła falę ciepła w sercu. Spuściła oczy, udając, że obserwuje piasek.

- Rozbieraj się!

Laine otworzyła oczy ze zdumienia i cofnęła się o krok.

- No chyba że masz zamiar pływać w tym stroju - dodał. Usta zadrżały mu w mimowolnym uśmiechu. Odwrócił się i ruszył w kierunku wody.

Mimo swego zawstydzenia, próbowała naśladować swobodę Dillona. Nieśmiało zdjęła koszulkę i dzinsy. Złożyła ubranie i podążyła za Dillonem. Czekał już w wodzie, która z pluskiem rozbijała się o jego uda. Przeanalizował każdy centymetr jej nagiego ciała, aż wreszcie zatrzymał wzrok na jej twarzy.

- Trzymaj się blisko mnie - polecił. - Popływamy chwilę na powierzchni, zanim zaczniesz nurkować. - Założył i dopasował jej maskę.

Powoli posuwali się po płyciźnie. Promienie słońca docierały aż do dna, oświetlając tańczące i kołyszące się wodorosty. Laine zapomniała o wskazówkach i próbowała zaczerpnąć powietrza pod wodą. Wynurzyła się, nie mogąc złapać tchu.

- Co się stało? - zapytał, podczas gdy ona kaszłała i prychała. - Musisz zwracać większą uwagę na to, co robisz - przestrzegł. Klepnął Laine mocno w plecy i uniósł jej maskę. - Gotowa?

Wzięła trzy głębokie oddechy, zanim była w stanie coś wykrztusić.

- Tak - odpowiedziała.

Zanurzyła się ponownie. Krok po kroku wpływała na głębszą wodę, trzymając się przy boku Dillona. Poruszał się w wodzie z taką swobodą, jak ptak w powietrzu. Wkrótce Laine nauczyła się odczytywać sygnały, jakie dawał jej ręką pod wodą, sama też zaczęła porozumiewać się z nim w ten sposób. Otoczyły ich ciekawskie ryby. Przyglądała się im szeroko otwartymi oczami i zastanawiała się, kto kogo przyszedł obserwować.

Kiedy wynurzyła się na powierzchnię, potrząsnęła głową i ochlapała maskę Dillona. Śmiejąc się, stanęła na dnie, gdyż w tym miejscu woda sięgała jej do pasa.

- Och, to było wspaniałe! Nigdy nie widziałam czegoś tak pięknego. Te kolory i tyle połączonych ze sobą odcieni błękitu i zieleni. Człowiekowi zaczyna wydawać się, że na całym świecie nie istnieje nic poza nim samym i tym niezwykłym miejscem.

Jej policzki zaróżowiły się z podniecenia, oczy przybrały barwę morza, a lśniące włosy w kolorze ciemnego złota ściśle przylegały do jej głowy. Teraz, gdy jej twarzy nie okalały loki, zdawała się jeszcze delikatniejsza i bardziej krucha. Dillon przyglądał się jej w milczeniu. Uniósł maskę i uśmiechnął się.

- Nigdy dotąd nie robiłam nic tak fantastycznego! Mogłabym zostać tam na dole na wieki. Tyle jest tam pięknych rzeczy do oglądania, do dotknięcia. Zobacz, co znalazłam. Jest piękna. - Trzymała fantazyjnie po-



skręcaną muszlę w obu rękach, gładząc palcem bursztynowe krawędzie. - Co to jest?

Dillon chwycił muszlę i obracał ją chwilę w dłoniach, zanim jej oddał, podając miejscową nazwę jakiegoś ślimaka.

- Wokół wyspy znajdziesz dziesiątki takich i wiele innych muszli.

- Mogę ją zatrzymać? Czy to miejsce do kogoś należy?

Dillon zaśmiał się, uradowany jej entuzjazmem.

- To prywatna zatoczka, ale znam właściciela. Nie sądzę, by miał coś przeciwko temu.

- Czy w muszli można usłyszeć szum morza? Podobno można. - Uniosła muszlę do ucha. Gdy usłyszała niski, wibrujący dźwięk, w jej oczach pojawił się zachwyt.

- *Oh, c'est incroyable* ~ podekscytowana, nawet nie zauważyła, że swój zachwyt wyraża po francusku. Zresztą nie tylko słowami, ale i gestami. Zatrzymała wzrok na Dillonie, jedną ręką trzymała muszlę przy uchu, a drugą żywo gestykulowała. - *Oh entend le bruit de la mer, C'est merveilleux! Dillon, ecoute.*

Podawała mu muszlę, pragnąc podzielić się odkryciem. Dillon śmiał się. Śmiał się tak, jak podczas żartów z jej ojcem.

- Wybacz, księżniczko, ale nic nie zrozumiałem.

- O rany, nie pomyślałam. Od bardzo dawna nie mówiłam po angielsku. - Odgarnęła włosy z twarzy i uśmiechnęła się do niego ciepło. - Muszla jest niesamowita, naprawdę można usłyszeć w niej morze.

Słowa zamarły w jej ustach, kiedy spostrzegła, że

z jego twarzy znikło rozbawienie. Emocje, które ich ogarnęły, sprawiały, że serce tłukło się jak oszalałe w jej piersi. Umysł krzyczał, żeby uciekać, ale jej ciało najwidoczniej miało inne pragnienia. Nie odsunęła się, gdy Dillon wyciągnął rękę i ją objął.

Po raz pierwszy czuła męską dłoń wędrującą po jej nagiej skórze. Nie dzieliło ich nic poza wodą, która obmywała ich ciała. W promieniach złotego słońca poddała się pieszczotom jego dłoni, aż zaczęło się jej wydawać, że nigdy się nie rozdzielią. Pragnęła już tylko, żeby stali się jednym, póki słońce nie zniknie, a świat nie stanie w miejscu.

Dillon uwolnił ją z objęć. Powoli zabrał ręce, jakby nie miał ochoty zrezygnować z czegoś, co już przez chwilę do niego należało. W westchnieniu Laine słychać było zadowolenie i rozpacz po utracie nowo odkrytej przyjemności.

- Przysiągłbym - mruknął, przyglądając się jej uważnie - że albo jesteś pierwszorzędną aktorką, albo zakonnica, która właśnie wyszła z klasztoru.

Laine spłoniła się i odwróciła, aby uciec w stronę piasku na plaży.

- Poczekaj. - Złapał ją za ramiona i obrócił w swoją stronę. Obserwował uważnie jej rumieńce. - Czegoś tak wspaniałego nie widziałem od lat. Księżniczko, muszę przyznać, że mnie zadziwiasz. Kolejny już raz - dodał, i choć nadal uśmiechał się kpiąco, to nie było już w jego głosie złośliwości. - Bez względu na to, czy jest to działanie przemyślane, czy też wynika z twojej niewinności.

Tym razem pocałunek był delikatny i drażniący zarazem. Nie potrafiła się bronić i oddała całkowicie jego namiętności. Objęła go mocno. Czuła pod dłońmi każdy jego mięsień. Nie zdając sobie sprawy z siły swego uroku, kusiła Dillona swoją niewinnością. Odsunął ją od siebie i spojrzął pochmurnie.

- Masz w sobie niezwykłą moc - powiedział po chwili i pozwolił jej odetchnąć. - Usiądźmy na moment. - Chwycił jej dłoń i pociągnął w stronę piasku.

Rozłożył duży ręcznik i położył się na nim. Laine wahała się chwilę, ale posadził ją siłą.

- Nie gryzę, księżniczko. Co najwyżej skubię.

Wyciągnął papierosy z torby, wsparł się na łokciach i zapalił jednego. Jego mokra skóra błyszczała w słońcu.

Laine, która czuła się niezręcznie, siedziała sztywno na brzegu ręcznika z muszlą w dłoniach. Starąła się zrozumieć uczucia, jakimi darzyła Dillona, a także ich przyczynę. Wiedziała, że to jest naprawdę ważne. I że to będzie ważne przez całe jej przyszłe życie. Taki nie-nazwany jeszcze dar. Niespodziewanie poczuła się szczęśliwa, jak w chwili, kiedy usłyszała szum muszli. Przyglądając się jej, uśmiechnęła się ciepło.

- Obchodzisz się z tą muszlą jak z nowo narodzonego dzieckiem.

Odwróciła się w stronę Dillona i zobaczyła, jak szczyrzy zęby w uśmiechu. Pomyślała, że nigdy wcześniej nie była tak uradowana.

- To moja pierwsza pamiątka. No i nigdy jeszcze nie nurkowałam po skarby.

- Tylko pomyśl o tych wszystkich rekinach, które

musiałaś pokonać, żeby go zdobyć. - Wypuścił dym w niebo.

- Chyba jesteś zazdrosny, bo ty nic sobie nie wyłowisz. Może to było samolubne z mojej strony, że nic dla ciebie nie wzięłam.

- Przeżyję.

- Nie znajdziesz takich muszli w Paryżu - wyjaśniła. - Dzieciaki będą ją cenić, zupełnie jakby to były złote dukaty.

- Dzieciaki?

Laine przyglądała się uważnie swojemu skarbowi. Gładziła palcami delikatną powierzchnię muszli.

- Moi uczniowie w szkole. Większość z nich widziała takie rzeczy tylko w książkach.

- Ty uczysz?

Pochłonięta odkrywaniem każdego załamania powierzchni muszli, Laine nie dostrzegła niedowierzania w jego pytaniu. Odpowiedziała machinalnie:

- Tak, angielskiego francuskich uczniów i francuskiego angielskich, którzy mieszkają we Francji. Kiedy skończyłam szkołę, zostałam tam jako nauczycielka. Nie miałam dokąd iść, a internat był przecież moim domem. Dillon, czy myślisz, że mogłabym tu co jakiś czas przyjechać i poszukać jeszcze jakiejś muszli? Dziewczyny w szkole byłyby zachwycone, one mają tam bardzo mało rozrywek.

- A gdzie była twoja matka?

- Co? - Zaskoczona zauważyła, że Dillon siedzi wyprostowany i badawczo ją obserwuje. - Co ty powiedziałeś? - spytała zmieszana zmianą jego tonu.

- Spytałem, gdzie była twoja matka?
- Kiedy byłam w szkole? Ona mieszkała w Paryżu.
- Niespodziewany gniew w jego głosie bardzo ją speszył. Spróbowała zmienić temat. - Chciałabym jeszcze raz obejrzeć lotnisko, myślisz, że...
- Przestań - przerwał jej.

Drgnęła nerwowo na tę suchą, ostrą komendę. Mentalnie przeszła do defensywy.

- Nie ma potrzeby krzyczeć. Całkiem dobrze cię słyszę z tego miejsca.

- Nie zmieniaj tematu, księżniczko. Chcę usłyszeć tylko kilka odpowiedzi. - Z wściekłością i determinacją odrzucił papierosa.

- Przepraszam, Dillon. - Wstała i odsunęła się od niego. - Nie jestem w nastroju na szczegółowe przesłuchanie.

Mamrocząc przekleństwa pod nosem, zerwał się na nogi i chwycił ją z zaskakującą szybkością.

- Ależ z ciebie numerek! Połapać się nie można w twoich nastrojach. Już sam nie wiem, który z nich jest prawdziwy. Kim ty, do diabła, jesteś?

- Mam już dość powtarzania ci, kim jestem - odpowiedziała cicho. - Nie wiem, co chcesz usłyszeć, nie wiem, kim chcesz, żebym była.

Jej odpowiedź i łagodny ton jeszcze bardziej go rozścieczyły. Ścisnął ją mocniej i potrząsnął, ale nim zdążył dokończyć, ktoś zawołał jego imię. Zaklął ponownie, puścił Laine i odwrócił się do postaci, która właśnie wyszła z tunelu palm.

Przez chwilę pomyślała, że to duch tej wyspy sunie

po piasku. Skóra dziewczyny była śniadozłota, a podkreślał to dodatkowo szkarłatno-granatowy sarong. Kaskada hebanowych włosów opadała na jej ramiona i plecy, falując w takt jej ruchów. Oczy, o kształcie migdałów, obrysowane ciemną aksamitną obwódką, mieniły się bursztynowym kolorem. Ponętny uśmiech przebiegł przez jej egzotyczną twarz. Uniosła rękę w powitalnym geście i Dillon zrobił to samo.

. - Witaj, Orchideo.

Dopiero gdy dziewczyna uniosła głowę i musnęła wargami usta Dillona, Laine zrozumiała, że ma do czynienia z istotą śmiertelną.

- Miri powiedziała, że idziesz ponurkować, więc wiedziałam, że tu cię znajdę. - Jej głos brzmiał niczym delikatna muzyka.

- Laine Simmons, Orchidea King. - Dillon dokonał szybkiej prezentacji. - Laine jest córką kapitana - dodał, patrząc na Orchideę.

- Ach, rozumiem. - Spojrzała badawczo, kryjąc podejrzliwość za wymuszonym uśmiechem. - Jak to miło, że wreszcie przyjechałaś. Długo zostaniesz?

- Tydzień, może dwa. - Wyprostowała się, aby spojrzeć jej w oczy. - A ty mieszkasz na wyspie?

- Tak, choć często z niej wyjeżdżam. Jestem stewardesą. Właśnie wróciłam z lądu i mam kilka dni wolnych. Chciałam zamienić niebo na morze. Mam nadzieję, że zaraz wracacie do wody. - Uśmiechnęła się do Dillona i położyła mu rękę na ramieniu. - Byłabym szczęśliwa, gdybym miała towarzystwo.

Dillona otaczała niezwykle magiczna aura. W zasa-

dzie nie musiał nic specjalnego robić - wystarczyło, że się uśmiechnął.

- Jasne. Mam kilka godzin wolnych.

- Ja chyba wrócę do domu - powiedziała szybko Laine. Czuła się niezręcznie, jakby im przeszkadzała. - Pierwszego dnia nie powinnam tak długo przebywać na słońcu. - Podniosła i włożyła swoją koszulkę. - Dziękuję, Dillon, że poświęciłeś mi tyle czasu. - Schyliła się po resztę rzeczy. - Miło było panią poznać, pani King.

- Jestem pewna, że się jeszcze spotkamy. - Orchidea zdjęła sarong, odsłaniając skąpe bikini i zachwycające ciało. - Na tej wyspie wszyscy jesteśmy bardzo przyjacielsko nastawieni. Prawda, kuzynie? - Mimo iż był to powszechnie używany zwrot, Orchidea sugerowała, że z Dillonem łączy ją o wiele bliższa relacja.

- Bardzo przyjacielsko - zgodził się z taką lekkością, że Laine wyczuła, jak swobodnie czuje się w jej towarzystwie.

Mruknęła słowa pożegnania i ruszyła w kierunku rozłożystych palm. Za sobą słyszała śmiech i melodyjny głos Orchidei. Spojrzała za siebie, zanim liście zasłoniły jej widok. Zobaczyła, jak dziewczyna oplótła ramionami szyję Dillona, zbliżając do jego ust swe wargi w powitalnym pocałunku.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Spacer powrotny nad zatoką pozwolił Laine przemyśleć ostatnie wydarzenia. Miała czas, żeby zastanowić się, jak wiele różnych emocji niosła ze sobą, tak krótka przecież, znajomość z Dillonem O'Brianem. Irytacja, rozdrażnienie, uraza i gniew stały na pierwszym miejscu. A z drugiej strony, z niewyjaśnionych powodów, były też momenty harmonii i zrozumienia między nimi. Jak choćby te z dzisiejszego poranka. Czuła się przy nim naprawdę beztrosko. A przecież, przyznała ponuro, nigdy wcześniej nie czuła się tak swobodnie w męskim towarzystwie.

Było coś niezwykle naturalnego w ich zbliżeniu. Zupełnie jakby ciało zostało stworzone do kontaktu z drugim ciałem, usta z drugimi ustami. Czuła prawdziwą wolność w jego ramionach.

Zatrzymała się, żeby zerwać różowy kwiat hibiskusa. Nerwowo szarpnęła łodygą. Jej uczucia zostały zranione najpierw przez niespodziewany atak szału Dillona, a potem przez pojawienie się tej ciemnoskórej piękności.

Orchidea, Rose... Zmarszczyła czoło na myśl o tych wszystkich kokietkach u jego boku. Potrząsnęła głową, jakby chciała zrzucić z siebie całe przygnębienie. Może Dillon ma zamiłowanie do kobiet o imionach pocho-



dzących od kwiatów, pomyślała. Oczywiście, kontynuowała rozmyślanie, nieświadomie odrywając płatki hibiskusa, on rozdaje pocałunki bez większego zaangażowania. I zapewne pocałował mnie tylko dlatego, że akurat znalazłam się na jego drodze. Najwyraźniej, myślała, szarpiąc odruchowo zerwane kwiaty, Orchidea King ma do zaoferowania znacznie więcej niż ja. Ona sprawia, że czuję się jak mały, szary wróbel przy barwnym, pięknym flamingu. Ciężko by mi było oczarować Dillona swoją kobiecością. Zwłaszcza że i tak już mnie zniechęcił. Poza tym to przecież wcale nie chcę przyciągać jego uwagi. Zdecydowanie nie, przypodobanie się temu okropnemu facetowi to ostatnia rzecz, o jakiej marzę. Spojrzała groźnie na postrzępiony kwiat. Westchnęła i wyrzuciła go, jednocześnie przyspieszając kroku.

Zaniosła muszlę do swego pokoju, przebrała się i zeszła na dół. Czowała się apatycznie, była zagubiona. W dobrze zorganizowanym systemie lekcji, posiłków i przydzielonych zadań jej czas był dokładnie zagospodarowany. Teraz brak jakichkolwiek wymogów sprawiał, że poczuła się niespokojna. Wspomniała, ile to razy w ciągu napiętego dnia tęskniła za krótką przerwą, kiedy mogłaby spokojnie poczytać lub choćby pobyć sama. Teraz miała mnóstwo wolnego czasu, a marzyła o jakimś konkretnym zajęciu. Bała się beczynnych, pustych godzin. Bała się myśleć. Zazwyczaj unikała rozważań o swojej sytuacji czy też zastanawiania się nad przyszłością.

Od kiedy tu przyjechała, nikt jeszcze nie pokazał jej

całego domu. Przez chwilę się wahała, ale ciekawość zwyciężyła i Laine postanowiła to nadrobić. Odkryła, że jej ojciec żył prosto, bez zbędnych ozdóbek i świecidełek. Dom urządzony był skromnie, w sam raz na potrzeby samotnego mężczyzny. Było trochę książek, ale nie wyglądały na zbyt często otwierane. Po ilości magazynów o tematyce lotniczej bez trudu zorientowała się, co czyta jej ojciec. W oknach, zamiast tradycyjnych zasłon, wisiały bambusowe rolety, tkane maty zastąpiły dywaniki.

Zaczęła rysować sobie w myślach obraz mężczyzny, którego satysfakcjonuje takie skromne życie, który żyje cicho, każdego dnia podobnie, i który całą energię wkłada w swoją jedyną miłość, czyli latanie. Zaczynała rozumieć, dlaczego małżeństwo ich rodziców rozpadło się. Skromny styl życia ojca nie pasował do pretensjonalnych zachowań matki. Ona nie miała satysfakcji z jego sposobu bycia, on czuł się zagubiony w jej świecie. Skonstatowała ze smutkiem, że zaczyna rozumieć, dlaczego nie mogła znaleźć wspólnego języka ani z matką, ani teraz z ojcem.

Podniosła z półki zdjęcie oprawione w czarną ramkę. Ze zdjęcia uśmiechał się do niej młody kapitan Simmons, obejmujący ramieniem Dillona O'Briana. Dillon też się uśmiechał, ale po swojemu - zadziornie. W ich wzroku widać było wzajemne zrozumienie i swobodę. Poczowała rozgoryczenie, widząc, że Kapitan i Dillon wyglądają na tym zdjęciu niczym ojciec i syn. Lata, które razem spędzili, są na zawsze dla mnie stracone, pomyślała ze smutkiem.

To nie jest w porządku, przemknęło jej przez myśl. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Przycisnęła zdjęcie do piersi i zamknęła oczy. Kogo ja obwiniam? - pytała się w myślach. Kapitana, że kogoś potrzebował? Dillona, że jest stąd? Szukanie winnych i oglądanie się wstecz nic tu nie pomoże. No dobrze, pora na kontynuowanie zwiedzania. Odetchnęła głęboko, odstawiła zdjęcie i ruszyła dalej. Kiedy weszła do kuchni, Miri powitała ją promiennym uśmiechem.

- Przyszłaś na lunch? - Miri spojrzała spod przy-mkniętych lekko powiek. - No proszę, nabrałaś już trochę koloru.

Laine rzuciła okiem na swoje nagie ramiona i ucieszyła się na widok delikatnej opalenizny.

- W zasadzie nie przyszłam wcale jeść. - Uśmiechnęła się do Miri i zatoczyła ręką koło. - Zwiedzam dom.

- Świetnie. A teraz siadaj. - Miri wskazała długim nożem drewniany stół. - I nigdy więcej nie ściel swojego łóżka, to moja praca - rozkazała i postawiła przed nią szklanke mleka. Poranek z Dillonem był udany?

- Tak, było miło. - Laine sięgnęła po kanapkę, a Miri zajęła miejsce po drugiej stronie stołu. - Nigdy nie przypuszczałam, że jest tyle fascynujących rzeczy pod wodą. Dillon to doskonały nauczyciel i przewodnik.

- On zawsze jest albo w wodzie, albo w powietrzu. Powinien trochę więcej pochodzić po ziemi. - Odchyliła się na krześle i patrząc na nią uważnie, dodała: - On bardzo cię pilnuje.

- Tak, wiem - wydukała Laine. - Zupełnie jakbym

była na zwolnieniu warunkowym. Poznałam dziś pannę King. - Laine zmieniła temat. - Przyszła nad zatokę.

- Orchidea King. - Miri wymamrotała coś w niezrozumiałym języku.

- Ona jest taka pełna życia i przyciągająca uwagę. Przypuszczam, że Dillon zna ją od dawna.

- Wystarczająco długo. Ale nie udało się jej jeszcze go usidlić. - Miri uśmiechnęła się chytrze. - Myślisz, że Dillon jest przystojny?

- Czy jest przystojny? - powtórzyła zaskoczona Laine, nie rozumiejąc, do czego Miri zmierza. - Tak, Dillon jest bardzo atrakcyjnym mężczyzną. To znaczy, tak sądzę. Nie znam zbyt wielu mężczyzn.

- Powinnaś się więcej do niego uśmiechać - doradziła jej Miri z zadumą. - Sprytna kobieta w ten sposób przekazuje mężczyźnie swoje myśli.

- On nie daje mi zbyt wielu powodów, żeby się do niego uśmiechać. Poza tym przypuszczam, że dostaje wystarczająco dużo uśmiechów z innych źródeł.

- Dillon przyciąga uwagę wielu kobiet. Jest bardzo hojnym mężczyzną. - Miri zachichotała i Laine w lot zrozumiała podtekst tego żartu. - Nie znalazł jeszcze kobiety, która sprawiłaby, że stałby się mniej rozrzutny. A teraz ty... - Miri postukała się palcem w nos, jakby coś rozważała. - Moglibyście przydać się sobie nawzajem. On mógłby uczyć ciebie, a ty jego.

- Ja Dillona? - Zaśmiała się szczerze. - Nie można uczyć kogoś, kogo się nie zna, Miri, a ja poznałam go dopiero wczoraj. Jedyne, co do tej pory robi, to wprawia mnie w zakłopotanie. Nigdy nie wiem, co przyjdzie mu

do głowy następnym razem - westchnęła. - Myślę, że mężczyźni są bardzo dziwni, Miri. Zupełnie ich nie rozumiem.

- Zrozumieć mężczyzn? - Miri roześmiała się głośno. - Co w nich jest takiego, co chciałybyś zrozumieć? Jedyne, czego potrzebujesz, to czerpać radość z bycia z nimi. Miałam trzech mężów i żadnego z nich nie rozumiałam. Ale - uśmiechnęła się jak młoda dziewczyna - miałam dużo przyjemności.

- Nie sądzę... to znaczy, oczywiście, wcale nie chciałabym, żeby on... ale... - Laine jąkała się, nie mogąc zebrać myśli. - Jestem pewna, że Dillon nie byłby mną zainteresowany. Wygląda na to, że ma bardzo udany związek z panną King. A poza tym - wzruszyła ramionami, czując rosnące przygnębienie - jest w stosunku do mnie nieufny.

- Tylko głupia kobieta pozwala, aby jej przeszłość wpływała na terażniejszość. - Miri splótła palce i odchyliła się na krześle. - Chcesz odzyskać miłość ojca, chudzielcu? Czas i cierpliwość pozwolą ci to osiągnąć. Pragniesz Dillona? - Uniosła rękę, zatrzymując automatyczny protest Laine. - Naucz się walczyć, tak jak potrafi walczyć kobieta. - Wstała. Kwiaty na jej muumuu zatrzepotały. - A teraz wynocha z mojej kuchni. Mam masę roboty.

Laine wstała posłusznie i ruszyła w stronę drzwi.

- Miri... - Odwróciła się, przygryzając wargi. - Byłaś bardzo blisko mego ojca przez wiele lat. Czy nie masz... - Laine zawahała się, ale pospiesznie dokończyła zdanie. - Czy nie masz mi za złe, że pojawiłam się tak nagle po tylu latach?

- Za złe? - powtórzyła. - Nie mam ci za złe, ponieważ byłaby to wyłącznie strata czasu. Zresztą nie mogłabym się gniewać na dziecko. - Wyjęła dużą łyżkę i uderzyła nią gniewnie w dłoń. - Kiedy opuściłaś kapitana Simmonsa, byłaś dzieckiem i odeszłaś ze swoją matką. Teraz nie jesteś już dzieckiem. I jesteś tutaj. Co mogłabym ci mieć za złe? - Wzruszyła ramionami i odwróciła się w stronę kuchenki.

Laine poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Zaciśnięła powieki i wzięła głęboki oddech.

- Dziękuję ci, Miri - mruknęła i wróciła do swojego pokoju.

Myśli wirowały w jej głowie, kiedy siedziała sama w swojej sypialni. Tak jak Dillon, obejmując ją, otworzył jej drzwi do uspiętych emocji, tak słowa Miri obudziły w niej uspięte obawy.

Czas i cierpliwość, powtarzała w myślach. Czas i cierpliwość - to była recepta Miri na zbolałe serce. Ale ja mam tak mało czasu i tylko nieco więcej cierpliwości. Jak mogę odzyskać miłość ojca w ciągu kilku dni? Potrząsnęła głową, nie potrafiąc znaleźć odpowiedzi. A Dillon... Poczuła ucisk w sercu. Opadła na łóżko i wpatrzyła się w sufit. Dlaczego on musi komplikować i tak już niezwykle skomplikowaną sytuację? Dlaczego w jednej chwili jest taki delikatny i sprawia, że czuję się jak kobieta, a zaraz potem staje się taki brutalny i podejrzliwy? Potrafi być tak łagodny i ciepły, kiedy trzyma mnie w ramionach. A potem... Zdenerwowana odwróciła się i przytuliła policzek do poduszki. Potem jest taki zimny, że nawet jego oczy zdają się być pełne

agresji. Gdybym tylko mogła przestać o nim myśleć i zapomnieć, jakie to cudowne uczucie, kiedy mnie całuje.

Pukanie do drzwi poderwało ją na równe nogi. Podeszła do nich, poprawiając zmierzwione włosy. W drzwiach stał Dillon, w nowym stroju, odświeżony i rześki. Laine wyglądała przy nim na zdezorientowaną i zasną. Patrzyła na niego, nie umiejąc zebrać myśli ani powiedzieć słowa. Dillon zmarszczył brwi i przyglądał się jej zasnętym oczom i zaróżowionym policzkom.

- Obudziłem cię?

- Nie, ja tylko... - Zerknęła na zegarek i ze zdumieniem zorientowała się, że przeleżała w łóżku ponad godzinę. - Tak - przyznała. - Myślę, że czas spędzony w samolocie daje mi się wreszcie we znaki. - Przyglądała dłonią włosy i próbowała odnaleźć się w sytuacji. - Nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, że zasnęłam.

Dillon oparł się nonszalancko o framugę drzwi i nadal jej się przyglądał.

- Jadę na lotnisko. Pomyślałem, że może masz ochotę się przejechać. Mówiłaś, że chciałybyś je jeszcze raz zobaczyć.

- Tak, chętnie - odparła, zaskoczona jego niewymuszoną uprzejmością.

- A więc... - odpowiedział sucho, dając jej gestem znak, żeby szła za nim.

- Za chwilę zejdę na dół. To mi zajmie tylko minutkę, obiecuję.

- Wyglądasz, jakbyś już była gotowa.

- Muszę się tylko uczesać.  
- Ale twoje włosy są w porządku. - Złapał ją za rękę i wyciągnął z pokoju, zanim zdołała zaprotestować.

Kiedy wyszli na zewnątrz, Dillon wcisnął jej w ręce kask. Laine stała zaskoczona. Po chwili ujrzała przed sobą lśniący motocykl. Spojrzała na kask, na motocykl, a potem na Dillona.

- Pojedziemy... tym?

- Zgadza się. Rzadko jeżdżę na lotnisko samochodem.

- Dziś chyba jest ten dzień, kiedy warto by skorzystać z samochodu - doradziła. - Nigdy nie jechałam motocyklem.

- Księżniczko, wszystko, co musisz robić, to usiąść za mną i się trzymać. - Wziął kask i włożył jej na głowę. Wsiadł na motocykl i włączył silnik. - Wskakuj.

Kiedy dotarli na lotnisko, Dillon zatrzymał się przed hangarem.

- Jesteśmy na miejscu, księżniczko. Koniec trasy.

Zsiadła z motoru i próbowała zdjąć kask.

- Tutaj. - Dillon jej pomógł. - Jesteś cała?

- Szczerze mówiąc - odparła - chyba nawet mi się podobało.

- To ma swoje zalety. - Powiodł rękami wzdłuż jej ramion i chwycił ją w talii. Stała nieruchomo, pragnąc, aby nie przestał jej dotykać. Przyłgnął do niej wargami. Dreszcz przebiegł jej po skórze. - Później - powiedział, cofając się - mam zamiar zrobić to w bardziej satysfakcjonujący sposób. Ale teraz mam pewną pracę do wykonania. - Powolnym ruchem pogładził jej biodra.



- Kapitan chciałby pokazać ci okolicę. Czeka na ciebie. Trafisz sama?

- Oczywiście. - Laine zrobiła krok do tyłu, zmieszana szybkim biciem swego serca. Dzieląca ich odległość nie pomogła jednak wyciszyć emocji. - Czy mam iść do jego biura?

- Tak. W to samo miejsce, gdzie byłaś poprzednio. Pokaże ci wszystko, cokolwiek chciałybyś zobaczyć. Uważaj, Laine. - W jego zielonych oczach nagle pojawił się chłód, a jego głos stał się szorstki. - Dopóki się do ciebie nie przekonam, nie możesz sobie pozwolić na najmniejszy błąd.

Przyglądała mu się przez chwilę. Poczwała chłód, a jej serce zaczęło znów bić miarowo.

- Bardzo się obawiam - przyznała ze smutkiem - że zrobiłam już jeden poważny błąd.

Odwróciła się i odeszła.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Laine podeszła do małego, otoczonego palmami budynku. Przez jej głowę przebiegały myśli dotyczące wszystkiego, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Spotkała się z ojcem, dowiedziała o oszustwie matki i teraz musiała zweryfikować swoje marzenia.

W ciągu tak krótkiego czasu, od wschodu do zachodu słońca, odkryła także przyjemności i ograniczenia związane ze swą kobiecością. Dillon wyzwolił w niej nowe, magiczne doznania. Ponownie jej rozum walczył z sercem, tłumacząc, że uczucia były jedynie wynikiem pierwszego fizycznego zauroczenia. To nie może być nic innego, zapewniała się. Nie można się zakochać w jeden dzień. I z całą pewnością nie w mężczyźnie takim jak Dillon O'Brian. Jesteśmy swoimi przeciwieństwami. On jest pewny siebie i wylewny. A do tego nie ma najmniejszych oporów w kontaktach z ludźmi. Zazdroszczę mu tej jego szczerzej pewności siebie. Nie ma to związku z moimi uczuciami. Po prostu nie spotkałam nigdy nikogo takiego jak on. To dlatego jestem taka zmieszana.

Kiedy weszła do holu, kapitan wychodził właśnie ze swojego biura.

- Witaj, Laine. Dillon mówił, że chciałaś się przejść po okolicy.

- Tak. Z przyjemnością. Jeśli masz chwilę czasu.

- Oczywiście. - Zawahał się, zanim ujął ją pod ramię i poprowadził na zewnątrz. - To nie jest duże lotnisko - zaczął opowiadać, kiedy ruszyli na obchód. - Nasze podstawowe usługi to przewozy między wyspami i czarter. Prowadzimy też szkółkę lotniczą. To w gruncie rzeczy projekt Dillona.

- Kapitanie. - Laine przerwała mu gwałtownie i odwróciła się, aby na niego spojrzeć. - Wiem, że postawiłam cię w niewygodnej sytuacji. Zrozumiałam teraz, że powinnam wcześniej napisać do ciebie list i zapytać, czy mogę przyjechać, a nie wpadać tak bez uprzedzenia. To było bezmyślne z mojej strony.

- Laine...

- Proszę. - Pokręciła głową, aby jej nie przerywał i przyspieszyła kroku. - Zdałam sobie też sprawę, że ty masz swoje własne życie, dom, swoich przyjaciół. Miałaś piętnaście lat na to, aby ułożyć sobie wszystko. Nie zamierzam ingerować w żadną ze sfer twego życia. Wierz mi, nie chcę wchodzić ci w drogę, nie chcę, żebyś czuł... - Machnęła ręką z rezygnacją, bo zabrakło jej słów. - Chciałabym, żebyśmy zostali przyjaciółmi.

Kapitan przyglądał się jej, kiedy mówiła. Na koniec obdarzył ją uśmiechem dużo cieplejszym niż do tej pory.

- Wiesz - westchnął i poprawił ręką włosy - to nieco przerażające stanąć w obliczu dorosłej córki po tylu latach. Żałuję, że nie widziałem wszystkich etapów

i zmian, jakie się w tobie dokonywały. Obawiam się, że nadał myślę o tobie jako o trudnym do poskromienia małym urwisie z warkoczykami i podrapanymi kolanami. Elegancka kobieta, która weszła wczoraj do mojego biura i przemówiła do mnie z delikatnym francuskim akcentem, jest dla mnie kimś zupełnie obcym. I kimś - dodał, gładząc jej włosy - kto przywołuje wspomnienia, o których sądziłem, że dawno umarły śmiercią naturalną. - Westchnął ponownie i wsunął ręce w kieszenie. - Niewiele wiem o kobietach. I prawdopodobnie nigdy nie wiedziałem. Twoja matka była najpiękniejszą i najbardziej skomplikowaną osobą, jaką kiedykolwiek znałem. Kiedy byłaś mała i byliśmy jeszcze razem we troje, przyjaźń z tobą zastępowała mi przyjaźń, której nigdy nie doznałem ze strony twojej matki. Byłaś jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek rozumiałem. Zawsze się zastanawiałem, czy to właśnie nie dlatego nic mi się w życiu nie układało.

Laine długo mu się przyglądała.

- Kapitanie, dlaczego się z nią ożeniłeś? Wygląda na to, że nie mieliście żadnych wspólnych cech.

Potrząsnął głową i zaśmiał się krótko.

- Nie znałaś jej dwadzieścia lat temu. Bardzo się zmieniła, Laine. Niektórzy zmieniają się bardziej niż inni. - Ponownie potrząsnął głową i zapatrzył się w dal.

- Poza tym kochałem ją. Zawsze ją kochałem.

- Przykro mi. - Laine czuła, jak łzy napływają jej do oczu. Wbiła wzrok w ziemię. - Nie chciałam wszystkiego utrudniać.

- Nie utrudniasz. Spędziłem z twoją matką także miłe

chwile. - Przerwał i czekał, aż Laine spojrzy na niego. - Lubię je wspominać. - Wziął ją za ramię i ruszyli przed siebie. - Czy twoja matka była szczęśliwa, Laine?

- Szczęśliwa? - Pomyślała przez chwilę, wspominając zmienne nastroje i wesoły głos, w którym jednak zawsze dało się słyszeć nutę niezadowolenia. - Myślę, że Vanessa była tak szczęśliwa, jak tylko potrafiła być. Kochała Paryż i żyła tak, jak chciała.

- Vanessa? - Kapitan zmarszczył brwi i spojrzał na Laine z góry. - To tak mówisz o swojej matce?

- Zawsze mówiłam jej po imieniu. - Uniosła dłoń, aby osłonić oczy przed słońcem i przyglądała się, jak samolot schodzi do lądowania. - Mówiła, że określenie „mama” ją postarza. Nie znosiła się starzeć. Czuję się lepiej, wiedząc, że jesteś szczęśliwy w życiu, które wybrałeś. Latasz jeszcze, kapitanie? Pamiętam, jak bardzo kiedyś to kochałeś.

- Ciągle jeszcze dokładam jakąś kolejną wylataną godzinę. Laine! - Chwycił ją za ramiona i odwrócił twarzą do siebie. - Zadam ci jedno pytanie, a potem zostawimy ten temat na jakiś czas. Czy byłaś szczęśliwa?

Bezpośredniość jego pytania i intensywność spojrzenia spowodowały, że poczuła się zmieszana. Spojrzała przed siebie, jakby zaciekawił ją widok wysiadających z samolotu pasażerów.

- Byłam bardzo zajęta. Zakonnice poważnie podchodzą do kwestii nauki.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie. A może... - poprawił się, ściągając wąskie brwi - może właśnie odpowiedziałas.

- Byłam zadowolona - odpowiedziała, uśmiechając się do niego. - Nauczyłam się naprawdę dużo i jestem zadowolona ze swego życia. Myślę, że to by każdemu wystarczyło.

- Może komuś, kto osiągnął mój wiek - odparł kapitan - ale nie bardzo młodej, uroczej kobiecie. - Zauważył, że zamiast uśmiechu na jej twarzy pojawił się grymas bezradności. - To nie wystarczy, Laine. Jestem zdziwiony, że na tym się zatrzymałaś. - Jego głos był tak surowy i pełen dezaprobaty, że poczuła, iż musi się bronić.

- Kapitanie, nie miałam możliwości... - przerwała, zdając sobie sprawę, że powinna ważyć słowa. - Nie traciłam czasu na walkę z wiatrakami - poprawiła się. - Uniosła ręce, dłońmi do góry, w typowym francuskim geście. - Być może doszłam do takiego punktu w życiu, kiedy powinnam coś zmienić.

Jego twarz złagodniała, kiedy Laine się do niego uśmiechnęła.

- W porządku. Zostawmy to na jakiś czas.

Nie wspominając więcej o przeszłości, kapitan poprowadził Laine wśród samolotów ustawionych w równych rzędach. Gładził każdy z nich tak, jakby to było jego dziecko, opisując z dumą ich możliwości. Dla Laine były to jednak niezrozumiałe techniczne określenia. Mimo wszystko słuchała go uważnie, zadowolona z jego dobrego humoru, ciesząc się na sam dźwięk jego głosu. Od czasu do czasu dodawała jakieś uwagi, które świadczyły o nieznajomości tematu i wywoływały śmiech kapitana. Jego śmiech był dla niej czymś bardzo cennym.

Budynki były rozległe, schludne i bezpretensjonalne. Nad wszystkim górowała przeszklona wieża kontrolna. Kapitan wskazywał na każdy budynek, ale to samoloty były jego głównym obiektem zainteresowania.

- Mówiłeś, że lotnisko nie jest duże. - Rozejrzała się dookoła. - Wygląda oszałamiająco.

- To jest małe, rzadko uczęszczane miejsce, ale robimy, co w naszej mocy, aby funkcjonowało tak dobrze, jak międzynarodowe lotnisko w Honolulu.

- Czym zajmuje się Dillon? - Zadając to pytanie, tłumaczyła sobie, że to tylko zwykła ciekawość.

- Och, Dillon robi wszystko po trochu - odpowiedział ogólnikowo. - Ma talent organizatorski. Potrafi znaleźć rozwiązanie problemu, zanim faktycznie coś stanie się problemem. Poza tym zarządza ludźmi tak dobrze, że nawet nie zdają sobie sprawy, że to on nimi kieruje. Potrafi też rozłożyć samolot na części i ponownie go zmontować. - Potrzęsnał głową i uśmiechnął się. - Nie wiem, co bym bez niego zrobił. Bez jego zacięcia i determinacji byłbym co najwyżej pilotem samolotu, z którego opyla się uprawy.

- Zacięcia? - powtórzyła, przeciągając słowo. - O tak, on zdecydowanie ma zacięcie, kiedy czegoś chce. Ale czy on... - zawahała się, nie mogąc znaleźć odpowiedniego określenia - czy nie jest przypadkiem bardzo nieskomplikowanym człowiekiem?

- Życie na wyspie determinuje prosty, na swój sposób, styl życia, a Dillon urodził się tutaj - zaczął kapitan. - Fakt, że jest normalny i unika pretensjonalnych zachowań, nie musi oznaczać, że brakuje mu inteligen-

cji czy umiejętności. Dillon ma jedno i drugie, tylko że realizuje ambicje na swój specyficzny sposób.

Później, kiedy szli w stronę hangarów, Laine uświadomiła sobie, że między nią a ojcem powstaje więź. Kapitan wyglądał na bardziej zrelaksowanego w jej obecności, zachowywał się bardziej spontanicznie. Zdawała sobie sprawę, że ona też bardziej się otworzyła. Czuła się o wiele swobodniej.

- Mam spotkanie za kilka minut - powiedział kapitan, kiedy weszli do hangaru. - Muszę z powrotem oddać cię pod opiekę Dillona. Chyba że chcesz, bym poprosił kogoś o zawieszenie cię do domu?

- W porządku, poradzę sobie - zapewniła go. - Może po prostu trochę się przejdę. Nie chciałabym się naprzykrzać.

- Nie naprzykrzałaś się. Bardzo miło było cię oprowadzić. Nic nie straciłaś ze swojej dziecięcej ciekawości. Zawsze chciałaś wiedzieć, jak i dlaczego, i zawsze z zaciekawieniem słuchałaś odpowiedzi. Jeśli mnie pamięć nie myli, miałaś pięć lat, kiedy zażądałaś wyjaśnienia działania panelu kontrolnego Boeinga 707 - odkaszlnął, a Laine zauważyła, że zrobił to dokładnie tak, jak zapamiętała z dzieciństwa. - Miałaś tak poważną minę, że mógłbym przysiąc, że wszystko doskonale rozumiałaś. - Poklepał jej dłoń i uśmiechnął się do Dillona, który zbliżał się do nich. - Cieszę się, że jesteś. Zaopiekuj się Laine, dobrze? Ja za chwilę spotykam się z Billetim.

- Wygląda na to, że dobrze na tym wyszedłem.

Laine odwróciła się w jego stronę i zobaczyła, jak



opiera się o samolot i wyciera dłonie o kombinezon, w który był ubrany.

- Świetnie. Zatem do zobaczenia wieczorem. - Kapitan odwrócił się do Laine, dotknął jej policzka, po czym wszedł do budynku.

Uśmiechnięta zwróciła się w stronę Dillona i napotkała jego zasepiony wzrok.

- Och, proszę. Nie niszczy tego. To tylko taki maleńki gest.

Wzruszył ramionami i stanął twarzą do samolotu.

- Podobała ci się wycieczka? - spytał.

- Tak. - Kilka kroków, które zrobiła, żeby do niego dołączyć, odbiło się głośnym echem po hangarze. - Obawiam się jednak, że niewiele zrozumiałam z tego, co mi opowiadał, ale nie miałam odwagi przyznać się.

- Jest najszcześliwszy, kiedy może opowiadać o samolotach - skomentował Dillon. - Dopóki słuchasz, nie ma znaczenia, czy rozumiesz, co mówi - dodał.

- Podaj mi tamten klucz dynamometryczny.

Laine spojrzała na rozłożone narzędzia i zaczęła szukać czegoś, co mogło być kluczem dynamometrycznym.

- Słuchałam z przyjemnością. Czy to jest ten klucz?

Dillon spojrział na przyrząd, który trzymała w ręku. Z rozbawieniem popatrzył na nią i potrząsnął przecząco głową. - Nie, księżniczko. To ten klucz - oświadczył, wyszukawszy właściwe narzędzie.

- Dotychczas nie spędziłam zbyt wiele czasu przy samochodach czy samolotach - mruknęła.

Zagotowało się w niej na myśl, co by było, gdyby Dillon poprosił o pomoc Orchideę King...

- Kapitan powiedział, że założyłeś szkołę latania - zmieniła temat. - Sam też w niej uczysz?

- Czasami.

Zebrała się na odwagę i spytała szybko:

- Nauczysz mnie?

- Co? - Spojrzał na nią przez ramię.

- Czy nauczysz mnie latać samolotem? - Zastanawiała się, czy Dillonowi to pytanie wydało się równie śmieszne, jak jej samej.

- Może. - Studiował jej twarz, próbując rozgryźć, o co chodzi. Dostrzegł jedynie determinację w jej oczach. - Może - powtórzył. - Dlaczego chcesz się nauczyć? Taka zachcianka?

- Kapitan kiedyś wspominał, że mnie nauczy. Oczywiście - rozłożyła ręce w typowym dla Francuzów geście - byłam wtedy tylko dzieckiem, ale... - Wypuściła gwałtownie powietrze, uniosła brodę i powiedziała z charakterystyczną dla Amerykanów pewnością siebie: - Bo to musi być fajne.

Zmiana w jej postawie i upór w głosie sprawiły, że Dillon nie mógł powstrzymać śmiechu.

- Dobra, jutro jedną z was zabiorę do góry.

Laine zmarszczyła brwi, próbując zrozumieć, co miał na myśli. Dillon podał jej klucz, by go odłożyła, a sam odwrócił się ponownie do samolotu. Spojrzała na upaprzaną smarem rączkę klucza. Dillon spostrzegł wahanie, wymamrotał coś pod nosem, po czym podszedł do wieszaka i podał jej kombinezon roboczy.

- Masz, załóż to. Muszę tu chwilę zostać, więc możesz się przydać.

- Jestem pewna, że doskonale poradzisz sobie z tym beze mnie.

- Bez wątpienia. Tak czy inaczej przebierz się.

Pod jego czujnym okiem ostrożnie ubrała obszerny kombinezon.

- Mój Boże! Utopisz się w tym! - Kucnął przed nią i zaczął podwijać nogawki spodni.

- Podejrzewam, że będę raczej zawadą niż pomocą.

- Zorientowałem się już jakiś czas temu - zripostowałem natychmiast.

Jego głos był jednak niezaprzeczalnie pogodny, kiedy podwijał jej rękawy. Jednym płynnym ruchem zapiął jej suwak pod samą szyję. Spojrzeli sobie w oczy i Laine dostrzegła zmieniony wyraz twarzy Dillona. Przez ułamek sekundy pomyślała, że widzi w jego oczach przebłysk czułości. Dillon jednak szybko odwrócił twarz, zaklął pod nosem i wsadził głowę do wnętrza samolotu.

- No dobra - zaczął energicznie. - Podaj mi śrubokręt. Ten z czerwoną rączką.

Laine wiedziała, jak wygląda śrubokręt, poszperała wśród narzędzi i znalazła go.

Dillon przez jakiś czas intensywnie pracował. Nie rozmawiali więc. Operowali tylko półsłówkami dotyczącymi niezbędnych narzędzi.

Laine zaczęła wypytywać go o różne szczegóły jego pracy. Nie wsłuchiwała się w odpowiedzi. Czerpała przyjemność z samego brzmienia i barwy jego głosu. Zajęty był pracą, mogła więc mu się swobodnie przyjrzeć. Bez skrupowania patrzyła na niezwykłą barwę je-

go oczu, obserwowała mocny zarys brody i opaleniznę na silnych ramionach. Jego twarz pokrywał jednodniowy zarost, a włosy w nieładzie opadały na kombinezon. Spozrzegła, że w chwilach zwiększonej koncentracji unosi prawą brew.

Odwrócił się do niej, żeby o coś poprosić, ale Laine nie reagowała, wpatrzona w jego oczy.

- Coś nie tak? - spytał zdziwiony.

Laine potrząsnęła gwałtownie głową i nerwowo przełknęła.

- Nie, ja... Coś chciałeś? Przepraszam, zamyśliłam się. - Pochyliła się nad skrzynią z narzędziami.

Dillon bez słowa podniósł potrzebne narzędzie i wrócił do pracy. Laine, wdzięczna za to, że był tak zaabsorbowany, zamknęła oczy.

Miłość, zaczęła rozmyślać, nie powinna pojawiać się tak niespodziewanie. Powinna nadpływać powoli, wspierana czułością i łagodnymi gestami. Nie powinna spadać na człowieka bez ostrzeżenia, niczym miecz. Jak można kochać coś, czego nie potrafi się zrozumieć?

Dillon O'Brian stanowił dla Laine nie lada zagadkę. Zdawał się mężczyzną, którego humory pojawiały się na ogół bez konkretnego powodu. Laine zastanawiała się, co tak naprawdę o nim wie. Wiedziała, że jest partnerem jej ojca, choć jego rola w interesie nie była jasna. Był mężczyzną, który ze swobodą poruszał się w wodzie i w powietrzu. Zdawała sobie też sprawę, że Dillon świetnie zna się na kobietach i potrafi je usatysfakcjonować.

Ale jak, zastanawiała się, jak można walczyć z mi-

łością, skoro się jej nie rozumie? Może to jest po prostu kwestia równowagi, jak w chodzeniu po linie?

- Wygląda na to, że znowu gdzieś odleciałaś myślami - zauważył Dillon, wyciągając szmatę z kieszeni.

Laine aż podskoczyła wyrwana z rozmyślań, co sprawiło, że Dillon wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Żałosny z ciebie mechanik, księżniczko. I niechlujny. - Przetarł jej policzek. - Tam jest umywalka. Idź i umyj ręce. Skończę tę robotę kiedy indziej. Układ paliwowy może dać w kość.

Ruszyła we wskazanym kierunku. Zmywając brud, wykorzystała chwilę, żeby odzyskać utracony spokój wewnętrzny. Odwiesiła na miejsce pożyczony kombi-  
nezon i kiedy Dillon pakował narzędzia, rozejrzała się po opustoszałym hangarze. Zdziwiła się, że tyle czasu upłynęło, gdy niezbyt udolnie mu asystowała. Na zewnątrz zapadał zmierzch. Ostatnie promienie słońca przebłyskiwały w liściach palm. Laine odwróciła się, czując na sobie przeszywający wzrok Dillona. Zwilżyła językiem wargi.

- Skończyłeś?

- Nie całkiem. Chodź.

Coś w jego głosie podpowiedziało jej, żeby się cofnąć, zamiast pójść za nim. Dillon spojrzał na nią wymownie i powtórzył groźnie:

- Powiedziałem, chodź!

Uznała, że lepiej dobrowolnie przystać na jego prośbę. Modliła się, żeby dźwięk kroków na posadzce zagłuszył łomot serca w jej piersi. Stała przed nim w ciszy, a on przyglądał się jej twarzy. Nic nie powiedział,

tylko położył dłonie na jej biodrach, lekko ją do siebie przyciągając. Otarli się o siebie udami. Trzymał ją mocno, choć nie musiał tego robić, bo nie była w stanie ruszyć się, kiedy tak na nią patrzył.

- Pocałuj mnie - powiedział tylko.

Pokręciła głową w proteście, nie potrafiąc uciec czy cokolwiek powiedzieć.

- Laine, powiedziałem, żebyś mnie pocałowała - powtórzył z naciskiem.

Uniosła ręce i położyła dłonie na jego ramionach. Cały czas patrzyła mu w oczy. Ich twarze zbliżyły się do siebie. Delikatnie i powoli pocałowała jego usta.

Wyczekał momentu, aż jej ruchy stały się bardziej śmiałe, aż jej dłonie zaplotły się na jego szyi. Przyciągnął ją bliżej siebie i wsunął ręce pod bluzkę. Gładził miękką skórę jej pleców. Dotykał jej niebywale łagodnie i wolno. Szepcząc jego imię, Laine przyłgnęła do niego, bez skrępowania okazując, jak bardzo go pragnie. Z pasją zaczęli szukać rozkoszy. Cały świat wokół zdawał się nie istnieć. W tej jednej chwili nic się dla niej nie liczyło poza Dillonem.

Odsunął ją od siebie. Nic nie mówiąc, stali tak i patrzyli sobie w oczy, próbując wyczytać z nich to, czego nie mogli powiedzieć. Dillon odgarnął kosmyk włosów z jej policzka.

- Lepiej zabiorę cię do domu.

- Dillon - zaczęła, nie wiedząc zupełnie, co powinna powiedzieć. Zamknęła oczy, zawstydzona swoim zachowaniem.

- Chodź, księżniczko. Miałaś długi dzień. - Otoczył

zaczął delikatnie masować jej kark. - Nie walczymy teraz na równych warunkach. A ja chcę walczyć fair.

- Walczyć? - Laine z trudem otworzyła oczy i wytrzymała jego spojrzenie. - Czy tak to właśnie widzisz, Dillon? Jako walkę?

- Nazywają to najstarszą walką świata - odpowiedział z uśmiechem, który zniknął jednak z jego twarzy, zanim się w pełni pojawił. Nagle jego dłoń zacisnęła się na jej brodzie. - To jeszcze nie koniec, Laine, a w następnej rundzie mogę powiedzieć: „do diabła z zasadami”.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Następnego poranka, kiedy Laine zeszła na śniadanie, zastała tylko ojca.

- Witaj, chudzielcu - zawołała Miii, zanim kapitan zdążył ją powitać. - Siadaj i jedz. Przygotuję ci herbatę, skoro nie lubisz mojej kawy.

Laine nie wiedziała, czy powinna czuć się zakłopotana, czy rozbawiona. Usiadła posłusznie przy stole.

- Polubiła cię - powiedział kapitan. Uniosła wzrok i zauważyła iskierki radości i uznania w oczach ojca. - Odkąd tu jesteś, tak się skoncentrowała na tym, żeby cię trochę podtuczyć, że nie ma czasu, żeby mi dokucać. Co za ulga.

Laine patrzyła z uśmiechem, jak ojciec nalewał sobie kawy.

- Miło mi, że mogę być pomocna. Rozejrzałam się wczoraj po domu. Chyba nie masz mi tego za złe, po prostu byłam ciekawa.

- Oczywiście, że nie. - Uśmiechnął się smutno. - Domyślam się, że pewnie sam powinienem pokazać ci dom. Moje maniery nieco zardzewiały.

- Nic się nie stało. Tak naprawdę - odchyliła głowę i odwzajemniła jego uśmiech - samotne włóczenie się po domu dało mi świeży obraz tego, jak mieszkasz.



Powiedziałeś, że żałujesz, że przegapiłeś etapy mojego dorastania, i że nadal myślisz o mnie jak o dziecku. Myślę... myślę, że ja także tego żałuję... To znaczy nadal mam w pamięci twój obraz z mojego dzieciństwa. Wczoraj zobaczyłam Jamesa Simmonsa z krwi i kości.

- Rozczarowana? - Rozbawienie kryło się w jego oczach i tonie głosu.

- Raczej pod wrażeniem tego - poprawiła go - że zobaczyłam mężczyznę zadowolonego z tego, kim jest, i ze swojego życia; którego najbliżsi otaczają miłością i szacunkiem. Myślę, że mój ojciec musi być bardzo miłym człowiekiem.

Obdarzył ją uśmiechem pełnym zaskoczenia i radości.

- To ci dopiero komplement. I to z ust dorosłej córki. Spojrzał na zegarek i skrzywił się.

- Niedługo mam spotkanie. Wybacz, że zostawiam cię samą w taki sposób, ale...

- Ależ proszę - przerwała. - Nie muszę być zabawiana. I, tak jak powiedziałam wczoraj, naprawdę nie chcę przeszkadzać. Jestem pewna, że znajdę wiele rzeczy, którymi będę mogła się zająć.

- Zatem w porządku. Do zobaczenia wieczorem.

Laine spędziła poranek nad zatoką na pisaniu listów do Francji.

Pisała tak długo, aż słońce stanęło w zenicie. Powietrze było wilgotne i gęste. Cisza oraz promienie słońca sprawiły, że poczuła się senna. Ułożyła się na kocu i zasnęła.

Poczuła, że ktoś potrząsa ją za ramię.

- *Un moment, ma soeur* - wymruczała. Starła się

otworzyć powieki, które zdawały się być z ołowiu. Tuż nad sobą zobaczyła twarz Dillona.

- Wygląda na to, że budzenie cię staje się moim przyzwyczajeniem. - Kucnął i wpatrywał się w jej le-  
dwo widzące oczy. - Nie wiesz, że lepiej nie spać na  
słońcu, kiedy ma się taką karnację jak ty? Masz szczę-  
ście, że się nie spaliłaś.

- Och. - Laine zrozumiała wreszcie, gdzie się znaj-  
duje, i spróbowała usiąść. - Nie wiem, dlaczego zasnę-  
łam. To pewnie przez tę ciszę.

- Innym powodem może być wyczerpanie - podpo-  
wiedział Dillon i zmarszczył brwi. - Wreszcie znikają  
cienie pod twoimi oczami.

- Kapitan powiedział, że rano byłeś bardzo zajęty.

- Hmm. Tak, byłem zajęty. - Pomógł jej stanąć na nogi.  
- Myślałem, że chciałaś nauczyć się latać samolotem.

- Wspaniale! - Jej twarz rozjaśniła się w uśmiechu  
radości. - Myślałam, że zapomniałaś. Jesteś pewien, że  
masz czas? Kapitan powiedział...

- Nie, nie zapomniałem. I nie, nie jestem zbyt zajęty  
- przerwał jej i pochylił się, aby podnieść koc. - Prze-  
stań się tak entuzjasmować, jakbyś miała dwanaście lat,  
a ja zabierałbym cię do cyrku.

- Oczywiście - odpowiedziała, rozbawiona jego  
zniecierpliwioną reakcją.

Dillon odetchnął z ulgą, chwycił ją za rękę i pociąg-  
nął za sobą. Słyszała, że złorzeczył pod nosem na ko-  
biecy ród.

Niecałą godzinę później siedziała już w samolocie.

- No więc to jest jednopłatowiec z silnikiem tłoko-

wym. Ogólnie rzecz ujmując, pilotowanie samolotu nie jest trudniejsze od prowadzenia samochodu. Pierwszą rzeczą, jakiej trzeba się nauczyć, jest zrozumienie posiadanych przyrządów i odczytywanie ich sygnałów.

- A jest tych przyrządów całkiem sporo, prawda?

- Laine z powątpiewaniem przyglądała się licznym tarczom i wskazówkom.

- Wcale nie. To nie jest samolot wojskowy. - Wzjął głęboki oddech, widząc, że Laine nic nie rozumiała, i włączył silnik. - W porządku. Jak będziemy się wznosić, chcę, żebyś patrzyła na ten przyrząd. To jest wysokościomierz. On...

- On pokazuje odległość samolotu od poziomu morza albo od ziemi - dokończyła za niego.

- Bardzo dobrze - Dillon poinformował wieżę o swoim starcie i samolot zaczął kołować. - A co, w nocy ukradłaś kapitanowi jedną z jego gazet?

- Nie. Zapamiętałam jedną z moich dawnych lekcji. Myślę, że zachowałam w pamięci wszystko, co opowiadał mi, kiedy byłam dzieckiem. To jest kompas, a to...

- Uniosła brew i zamyśliła się. - To jest wskaźnik przechyłów, ale nie jestem pewna, czy pamiętam, co to dokładnie oznacza.

- Jestem pod wrażeniem twojej wiedzy, ale miałaś patrzeć na wysokościomierz.

- Racja. - Skarcona posłusznie przeniosła wzrok.

- W porządku. - Uśmiechnął się do niej i ponownie skoncentrował uwagę na niebie. - Większa igła powinna zrobić jedno okrążenie na każde trzysta metrów wysokości. Mniejsza obraca się za każdym razem, kiedy

wzniesiemy się o trzy tysiące metrów. Kiedy nauczysz się, do czego służą wszystkie przyrządy i jak z nich korzystać, latanie okaże się łatwiejsze niż prowadzenie samochodu. I trzeba przyznać, że jest zdecydowanie mniej korków.

Na kolejne trzydzieści minut Dillon zamienił się w nauczyciela. Laine zaskoczyła jego ogromna wiedza i cierpliwość. Odpowiadał spokojnie na dziesiątki pytań. Zdawał się wręcz cieszyć z jej głodu wiedzy. Płynęli przez niebo pośród pierzastych chmur i szczytów górskich. Laine zaczęła dostrzegać podobieństwo między wolnością, jaką dają człowiekowi nurkowanie i radością latania. Zaczęła rozumieć fascynację, o której opowiadał Dillon. O potrzebie poszukiwania wyzwań, potrzebie odkrywania. Słuchała go w napięciu, usilnie starając się nic nie przeoczyć, wszystko zrozumieć i zapamiętać.

- Rozpętała się mała burza za naszymi plecami - poinformował ją spokojnie. - Nie będziemy z nią walczyć. - Odwrócił się do niej z niewyraźnym uśmiechem. - Trochę nami porzuca, księżniczko.

- Och! - Próbując naśladować jego głos, uniosła się na fotelu i uważnie przyjrzała ciemnym chmurom. - Myślisz, że mógłbyś przez to przelecieć? - zapytała, zachowując spokój w głosie, choć żołądek się jej ścisnął.

- Być może - odparł.

Kiedy zauważyła rozbawienie w jego oczach, odetchnęła spokojniej.

- Masz naprawdę dziwne poczucie humoru - skomentowała jego zachowanie, po czym wstrzymała oddech, kiedy wlecieli pomiędzy te chmury.

W jednej chwili utonęli w ciemnościach. Ze wszystkich stron wściekle siekł deszcz. Kiedy zatrzęsło samolotem, poczuła, jak ogarnia ją panika.

- Wiesz, zawsze fascynowało mnie bycie w środku chmur. Niby to tylko para wodna, ale chmury są bajeczne. - Jego głos był spokojny i opanowany, co trochę ją uspokoiło. - Najciekawsze są chmury burzowe, ale przydałyby się błyskawice - dodał.

- Myślę, że mogę obejść się bez nich - wydukała Laine.

- Mówisz tak, bo nigdy nie widziałas ich z tej perspektywy. Kiedy lecisz w chmurach, możesz obserwować pioruny zupełnie z innej perspektywy. Ich kolory są nieziemskie.

- Przeleciałeś przez wiele takich burz? - Laine wyjrzała przez swoje okno, ale zobaczyła jedynie kłębiące się ołowiane chmury.

- Trochę tego było. Ale ta rozpęta się, dopiero kiedy już wylądujemy. Zresztą nie potrwa długo.

Samolotem znowu rzuciło i Laine spojrzała zdeorientowana na Dillona, który szeroko się uśmiechnął.

- Lubisz takie sytuacje, prawda? Podniecenie, dreszczyk emocji?

- To utrzymuje refleks w dobrej formie, Laine. - Spojrzał na nią i uśmiechnął się, tym razem bez odrobiny złośliwości. - I chroni człowieka przed nudą. - Zatrzymał na niej wzrok w taki sposób, że jej serce zabiło szybciej. - W życiu jest wystarczająco dużo stabilizacji - kontynuował. - Praca, rachunki, polisa ubezpieczeniowa. To wszystko daje ci równowagę. Ale czasami człowiek

musi przejechać się górską kolejką, skoczyć na spadochronie czy rzucić się w fale oceanu. Adrenalina nadaje życiu sens. Sztuką jest utrzymanie równowagi.

Tak, pomyślała Laine. Vanessa nigdy nie opanowała tej sztuki. Ciągle szukała nowych wyzwań, ale nigdy nie potrafiła się cieszyć tymi, w których akurat uczestniczyła. A ja być może przesadzam w drugą stronę, myśląc zbyt wiele o stabilizacji. Za dużo książek, a za mało działań.

- Od lat nie jechałam kolejką górską. - Uśmiechnęła się do niego. - Można powiedzieć, że najwyższa pora na to. Spójrz! - Przytknęła nos do szyby. - Te złowrogie mgły wyglądają jak żywcem wyjęte z „Makbeta”. Chciałabym zobaczyć błyskawicę, Dillon. Naprawdę chciałabym.

Uśmiechnął się na widok pożądanego oczekiwania na jej twarzy.

- Zobaczymy, co da się zrobić.

Samolot wytracał wysokość. Chmury po chwili zupełnie zniknęły. Ich oczom ukazała się ziemia zmoczona deszczem i pełna świeżych kolorów. Kiedy wylądowali, Laine czuła się jak dziecko, które nie dostało wymarzonej zabawki.

- Za kilka dni znów cię zabiorę, jeśli będziesz chciała - powiedział Dillon, kierując samolot w stronę hangarów.

- O tak, proszę. Bardzo bym chciała. Nie wiem, jak ci dziękować...

- Odrób pracę domową - polecił, wyłączając silniki.

- Dam ci kilka książek, żebyś mogła poczytać o przyrządach pokładowych.

- Tak jest! - Odparła z podejrzaną pokorą, co spr-

wiło, że Dillon przyjrzał się jej uważnie, nim wyskoczył z samolotu.

Brak doświadczenia sprawił, że wysiadanie zajęło Laine więcej czasu. Dillon wykorzystał to i wyciągnął ją, nim uporała się z tym sama. Stali blisko siebie w zacinającym deszczu. Opierał dłonie o jej talię. Przez przemoczoną bluzkę czuła ciepło jego ciała. Ciemne kosmyki włosów opadły mu na czoło. Czuła się w jego ramionach tak pewnie, jakby była w nich od zawsze. I jakby na zawsze miała już w nich pozostać. Fala miłości załała jej serce.

- Mokniesz - szepnęła, przykładając dłoń do jego twarzy.

- Ty również.

- Nie zwracam na to uwagi.

Westchnąwszy, Dillon oparł brodę na jej głowie.

- Miri mnie zabije, jeśli przeze mnie się przeziębisz.

- Nie jest mi zimno - mruknęła, czując się cudownie z powodu ich bliskości.

- Ty drżysz. - Niespodziewanie Dillon przyciągnął ją do swego boku i ruszył przed siebie. - Idziemy do mojego biura. Musisz wyschnąć, zanim wrócimy do domu.

Deszcz przestał padać, promienie słońca wyjrzały zza chmur. Laine spojrzała w stronę budynku, w którym mieściło się biuro Dillona. Z uśmiechem odrzuciła mokre kosmyki włosów z oczu i wyswobodziła się z uścisku Dillona.

- Ścigamy się! - krzyknęła i popędziła po mokrej ziemi.

Złapał ją tuż przy drzwiach, śmiejąc się i z trudem łapiąc oddech. Laine z lekkością otoczyła rękami jego

szyję. Śmiali się teraz razem. Czuła się jak młoda, głupiutka i bezgranicznie zakochana dziewczyna.

- Ale jesteś szybka - zauważył Dillon.

Odchyliła głowę, żeby odwzajemnić jego uśmiech.

- Kiedy żyjesz w klasztorze, uczysz się być szybkim. Wyścig do łazienki jest brutalny.

Dillon sprawdził wiadomości, zamienił kilka zdań ze swoją sekretarką, po czym zabrał Laine z powrotem do domu.

Słońce właśnie zachodziło, kiedy usadowiła się na werandzie w towarzystwie Dillona i ojca.

Niebo wyglądało oszałamiająco. Intensywny tropikalny błękit zmieniał się w złoto i purpurę. Niskie kłębiaste chmury mieniły się odcieniami różu i fioletu. Zapadał zmrok i świat wokół wyglądał jak senne marzenie. Laine siedziała cicho w wiklinowym fotelu, myśląc o minionym dniu. W tle słyszała rozmowę mężczyzn. Po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu czuła, że jest psychicznie i fizycznie zrelaksowana.

Kapitan wstał, mówiąc coś na temat przygotowania kawy, i wszedł do domu. Laine uśmiechnęła się do niego, kiedy ją mijał. Podkuliła nogi i spoglądała na pierwsze gwiazdy, pojawiające się właśnie na niebie.

- Jesteś dziś bardzo cicha. - Dillon odchylił się na krześle i Laine usłyszała dźwięk jego zapalniczki.

- Właśnie myślałam o tym, jak tu pięknie - westchnęła z zadowoleniem. - To jest chyba najcudowniejsze miejsce na świecie.

- Piękniejsze niż Paryż?



Słyszając, jak szorstko to powiedział, odwróciła się i popatrzyła na niego pytająco. Blask księżycyca oświetlał jej twarz.

- Jest zupełnie inne niż Paryż - odpowiedziała. - Niektóre miejsca w Paryżu z wiekiem nabrały szlacheckiego piękna. Inne są eleganckie i dostojne. Paryż jest jak kobieta, której często mówią, że jest czarująca. Ale tutaj piękno jest bliższe natury. Ta wyspa jest wiecznie młoda i niewinna.

- Wielu ludzi męczy niewinność. - Dillon zaciągnął się głęboko.

- Pewnie to prawda - zgodziła się, zastanawiając się, dlaczego Dillon jest taki zdystansowany i krytyczny.

- W tym świetle wyglądasz zupełnie jak twoja matka - powiedział nagle.

Laine poczuła, że przeszył ją chłód.

- Skąd ty to możesz wiedzieć? Przecież nigdy nie spotkałeś mojej matki.

- Kapitan ma jej zdjęcie. - Dillon odwrócił się do niej, ale jego twarz pozostawała w mroku. - Przypominasz ją w każdym calu.

- Z całą pewnością. - Kapitan pojawił się z tacą zastawioną kubkami z kawą. Postawił ją na okrągłym stoliku, wyprostował się i przyjrzał Laine. - To niezwykle. Światło pada na ciebie w taki szczególny sposób albo masz taki szczególny wyraz twarzy. Nagle zmieniasz się w swoją matkę sprzed dwudziestu lat.

- Nie jestem Vanessa. - Laine wstała gwałtownie ze swego krzesła, a jej głos trząsł się z wściekłości. - I nie jestem taka jak Vanessa. - Łzy napływały jej do oczu,

co pogłębiało jej rozpacz. Ojciec patrzył na nią ze zdumieniem. - Nie jestem taka jak ona. Nie chcę być z nią porównywana. - Wściekła na obu mężczyzn i na siebie samą, odwróciła się i wyszła, trzaskając przeszklonymi drzwiami. Biegąc po schodach, wpadła na Miri. Wyjąkała słowa przeprosin, dobiegła do końca schodów i zniknęła w swoim pokoju.

Zdenerwowana Laine robiła trzecie okrążenie wokół swojego pokoju, kiedy weszła Miri.

- Co ma znaczyć to bieganie i trzaskanie drzwiami w moim domu? - zapytała, krzyżując ręce na obfitym biuście.

Laine opadła na łóżko i rozpłakała się, choć bardzo starała się zapanować nad łzami. Miri podeszła do niej, szepcząc coś w swoim języku, i przytuliła ją.

- Cały Dillon - mruknęła, kołysząc Laine.

- To nie przez Dillona - wydusiła Laine. Ten matczyzny uścisk był dla niej czymś nowym i przytłaczającym. - To przez... to przez nich obu. - Poczuła, że brakuje jej tlenu. - Nie jestem do niej podobna, Miri. Nie jestem do niej podobna ani trochę.

- Oczywiście, że nie jesteś. - Miri pogładziła jasne loki Laine. - A do kogo nie jesteś tak zupełnie podobna?

- Do Vanessy. - Laine otarła łzy grzbietem dłoni.

- Do mojej matki. Obaj patrzyli na mnie i mówili, że wyglądam jak ona.

- Co to ma znaczyć? Co to w ogóle ma znaczyć? Te wszystkie łzy tylko dlatego, że jesteś do kogoś podobna?

- Miri odsunęła Laine od siebie i potrząsnęła nią za

ramiona. - Dlaczego marnujesz swoje łyzy z tego powodu? Kiedy już myślałam, że jesteś mądrą dziewczyną, ty zachowujesz się tak głupio.

- Nic nie rozumiesz. - Laine podciągnęła kolana pod brodę. - Nie chcę być do niej porównywana. Nie do niej. Vanessa była samolubna i skoncentrowana wyłącznie na sobie, no i nieuczciwa.

- Była twoją matką - stwierdziła Miii tak dobitnie, że Laine zaniemówiła. - Będziesz wyrażała się o swojej matce z szacunkiem. Ona nie żyje i cokolwiek zrobiła w przeszłości, to się już skończyło. Musisz o tym zapomnieć - oznajmiła, ponownie potrząsając Laine. - Albo nigdy nie będziesz szczęśliwa. Czy uważasz, że jesteś samolubna i skoncentrowana wyłącznie na sobie, a w dodatku nieuczciwa?

- Nie, ale...

- A co powiedział ci Kapitan Simmons? - zapytała Miri.

Laine westchnęła głęboko.

- Powiedział, że wyglądam jak moja matka.

- A wyglądasz tak, czy on kłamie?

- Chyba wyglądam, ale...

- Więc twoja matka była piękną kobietą. I ty jesteś piękną kobietą. - Miri uniosła twarz Laine swymi silnymi palcami. - Wiesz, kim jesteś, Laine Simmons?

- Myślę, że wiem.

- A więc nie masz żadnego problemu. - Miri poklepała ją po policzku i wstała.

- Och, Miri - zaśmiała się Laine i ponownie otarła oczy. - Sprawiaś, że czuję się okropnie głupio.

- Sama sprawiłaś, że czujesz się głupio - poprawiła ją Miri. - Ja nie trzaskałam drzwiami.

Laine musiała zgodzić się z jej logiką.

r - Obawiam się, że będę musiała teraz zejść na dół i przeprosić.

Kiedy Laine wstała, Miri zagroziła jej drogę ponownie, krzyżując ręce na piersi.

- Nie ma mowy.

Laine spojrzała na nią i zdezorientowana wydukała:

- Ale przecież powiedziałaś...

- Powiedziałam, że zachowałaś się głupio, bo tak było. Kapitan Simmons i Dillon także zachowali się głupio. Żadna kobieta nie powinna być porównywana do innej kobiety. Jesteś wyjątkowa i jedyna w swoim rodzaju. Czasami mężczyźni widzą w kobiecie tylko twarz. - Miri poklepała ją po obu policzkach. - Nieco dłużej zajmuje im dotarcie do tego, co jest wewnątrz. A więc - uśmiechnęła się do Laine, ukazując białe zęby - nie będziesz przeproszać. Pozwolisz, aby to oni przeprosili ciebie. To najlepsza droga.

- Rozumiem - powiedziała Laine, nie rozumiejąc zupełnie nic. Nagle roześmiała się i ponownie usiadła na łóżku. - Dziękuję ci, Miri. Czuję się o wiele lepiej.

- To dobrze. A teraz kładź się do łóżka. Idę dać reprimendę kapitanowi Simmonsowi i Dillonowi. - Po tonie jej głosu można się było domyślić, że bardzo się na to cieszy.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Następnego ranka Laine ruszyła powoli do kuchni. Jej zielona sukienka odsłaniała ramiona. Czuła się niezręcznie po incydencie z zeszłego wieczoru. Zatrzymała się przed drzwiami, słysząc, że Kapitan i Dillon są już na śniadaniu. Obaj pochłonięci byli ożywioną dyskusją.

- Jeśli Bob rzeczywiście musi wziąć wolne w przyszłym tygodniu, to mogę go zastąpić - mówił Dillon, popijając kawę.

- Po pierwsze, masz wystarczająco dużo własnych zajęć, a po drugie, to chyba ty miałaś wziąć kilka dni wolnego. - Kapitan upił łyk kawy i spojrzał surowo na Dillona.

- Wiesz, w zasadzie przez ostatni tydzień nie byłem specjalnie przykuty do biurka. - Dillon wyszczerzył w uśmiechu zęby, a ponieważ mina Kapitana nie zmieniła się, wzruszył ramionami i dodał: - Wezmę trochę wolnego w przyszłym miesiącu.

- Ile razy ja to już słyszałem? - Kapitan zrezygnowanym wzrokiem powiódł po wnętrzu.

Dillon uśmiechnął się.

- Mówiłem ci już, że przechodzę na emeryturę w przyszłym roku?

Laine bez trudu wyczuła żart w jego głosie.

- Chcę się zająć lotniarstwem - Dillon kontynuował - podczas gdy ty będziesz nadal niewolnikiem swojego biurka. I kogo będziesz dręczył, jak zabraknie mnie w pobliżu?

- Kiedy ty będziesz w stanie wytrzymać tydzień bez pracy, to zapewne ja już będę na emeryturze. Z tobą jest taki problem - kapitan wycelował w Dillona łyżką - że jesteś za dobry i pozwoliłeś, żeby inni to odkryli. I teraz nikt nie potrafi podjąć decyzji bez konsultacji z tobą. Trzeba było swoje umiejętności i wiedzę trzymać w sekrecie. Lotniarstwo, mówisz? - kapitan zachichotał i uniósł kubek z kawą do ust. - O, dzień dobry, Laine.

Laine drgnęła na dźwięk swego imienia.

- Dzień dobry - odpowiedziała, mając nadzieję, że jej wczorajszy wybuch nie zniszczy tej cienkiej nici zrozumienia, jaką udało się jej utkać w kontaktach z ojcem.

- Czy bezpiecznie jest zaprosić cię do środka? - Uśmiechał się niepewnie, ale gestem dłoni wskazał jej miejsce przy stole. - Jeśli dobrze pamiętam, twoje wybuchy są częste i gwałtowne, ale za to krótkotrwałe.

Odetchnęła, że obyło się bez sztucznych przeprosin. Usiadła przy stole.

- Pamięć cię nie zawodzi, choć zapewniam, że ostatnio nie wybucham już tak często. Dzień dobry, Dillon.

- Uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- Dzień dobry, księżniczko. Kawy? - Nim zdążyła odpowiedzieć, napełnił jej kubek.

- Dziękuję - wymruczała pod nosem. - Ciężko w to

uwierzyć, ale mam wrażenie, że dziś jest jeszcze piękniejszy dzień niż wczoraj. Nie sądzę, że mogłabym kiedykolwiek przywyknąć do życia w raju.

- Niewiele jeszcze widziałaś - skomentował Kapitan. - Powinnaś pojechać w góry albo w głąb wyspy. Centrum Kauai to jedno z najwilgotniejszych miejsc na ziemi. Tropikalny las trzeba zobaczyć.

- Wygląda na to, że wyspa jest pełna niespodzianek. Choć nie potrafię sobie teraz wyobrazić, że jest cokolwiek piękniejszego od tego, co już zobaczyłam.

- Zabiorę cię dzisiaj na wycieczkę - oświadczył Dillon.

Laine spojrzała na niego ostro.

- Nie chciałabym zakłócać twojego porządku dnia. I tak zajęłam ci już bardzo dużo czasu.

- Mam jeszcze trochę wolnego. - Wstał gwałtownie. - Uporządkuję kilka spraw i przyjadę po ciebie o jedenastej. Do zobaczenia, kapitanie. - Pożegnał się i wyszedł, nie czekając na jej zgodę.

Do jadalni weszła Miri z talerzem pełnym jedzenia. Postawiła go przed Laine. Zirytowana spojrzała na kubek kawy, którym Laine się bawiła.

- Po co nalewasz sobie kawę, skoro nie zamierzasz jej pić? - Zabrała kubek i wyszła.

Laine westchnęła i zabrała się do śniadania.

Miri wspaniałomyślnie wyraziła zgodę na to, by Laine po śniadaniu zmieniała kwiaty w wazonach w całym domu. Laine spędziła w ogrodzie sporo czasu.

Kiedy wróciła do domu, z dużym pietyzmem zabrała się do układania bukietów. Jej myśli popłynęły w kie-

runku żonkili rozkwitających za oknem jej szkoły. Pomyślała, że to dziwne, iż nie tęskni za Francją. Zaniepokoiło ją również, że myśli o Kauai jak o swoim domu. Myśl o tym, że miałyby wrócić do Francji i wieść życie takie jak kiedyś, napełniła ją nieprzyjemnym, tępym bólem.

W pokoju ojca na biurku postawiła wazon z gałązkami uroczynu. Przy okazji przyjrzała się zdjęciu kapitana i Dillona. Jakie to dziwne, pomyślała, że tak bardzo potrzebuję jednego i drugiego. Westchnęła i ukryła twarz w kwiatkach.

- Czy to kwiaty sprawiają, że jesteś nieszczęśliwa?

Odwróciła się gwałtownie, o mało nie strącając wazonu. Przez chwilę patrzyli na siebie z Dillonem bez słowa. Laine czuła niejasne napięcie między nimi.

- Cześć, to już jedenasta?

- Już niemal południe, spóźniłem się. - Wsadził ręce w kieszenie i przyglądał się jej. Wpadające przez okno słońce rozświetlało jej włosy. - Masz ochotę na lunch?

- Nie, dziękuję.

- Jesteś gotowa?

- Tak.

Kiedy ruszyli, Dillon milczał. Laine uszanowała to i skoncentrowała się na roztaczających się z samochodu widokach. Z obu stron wyłaniały się grzbiety zielonych gór. Jechali skrajem stromej przepaści. Ład kończył się nagle, ustępując miejsca niebu i lazurowym wodom oceanu.

- Swego czasu zabawiano tu wyspiarskie osobisto-



ści, rzucając pochodnie ze skał. - Dillon odezwał się niespodziewanie po kilku kilometrach ciszy. - Legenda głosi, że kiedyś żyły tu skrzaty - dodał.

- Gdzie się teraz podziały? - Laine uśmiechnęła się do niego.

Dillon wysiadł i energicznie obszedł samochód, by otworzyć jej drzwi.

- Wciąż tu są. Ukrywają się.

Udali się razem na skraj urwiska. Serce podeszło jej do gardła na widok fal rozbijających się wściekle o skały głęboko pod nimi.

Dillon, nieczuły na przyprawiające o zawrót głowy widoki, spojrzał przed siebie na ocean. Bryza rozwiała mu włosy, rozrzucając je w nieładzie.

- Masz niezwykłą umiejętność zachowania milczenia, kiedy sytuacja tego wymaga - zauważył.

- Wyglądałeś na zaabsorbowanego. - Odgarnęła kosmyki włosów z twarzy. - Pomyślałam, że może zaprzęta ci głowę jakiś problem.

- Naprawdę? - Jego twarz wyrażała rozbawienie i rozdrażnienie zarazem. - Chcę porozmawiać o twojej matce.

Laine była tak zaskoczona tym, co powiedział, że potrzebowała chwili na pozbieranie myśli.

- Nie! - Odwróciła się, by odejść, ale przytrzymał ją za ramię.

- Chcę znać przyczyny twojego wczorajszego ataku wściekłości.

- Wczoraj przesadziłam. - Potrząsnęła głową, walcząc z włosami, które bezlitośnie targał wiatr. - Zach-

walam się głupio, ale czasem to jest silniejsze ode mnie - tłumaczyła. Widziała wyraźnie, że takie wyjaśnienie mu nie wystarczy.

Tak bardzo chciała mu wytłumaczyć, jak silnie poczuła się zraniona. Pamiętała jednak pierwszą rozmowę z Dillonem i jego niesprawiedliwą ocenę pobudek, jakimi kierowała się, przyjeżdżając tu. To powstrzymało ją przed szczerą rozmową.

- Dillon, całe moje życie akceptowano to, kim jestem - mówiła powoli, starannie dobierając słowa. - Irytuje mnie, kiedy ktoś to zmienia. Nie chcę być porównywana z Vanessa tylko dlatego, że istnieje między nami fizyczne podobieństwo.

- Myślisz, że to właśnie robił kapitan?

- Może tak, może nie. - Uniosła powoli głowę. - Ty to robiłeś.

- Czyżby? - spytał, choć nie spodziewał się odpowiedzi. - Dlaczego jesteś tak zawzięta na swoją matkę?

Wzruszyła ramionami i odwróciła twarz w stronę wody.

- Nie jestem, Dillon. Już nie. Vanessa nie żyje i ta część mojego życia jest zamknięta. Nie chcę o niej rozmawiać, póki sama nie zrozumie swoich uczuć.

- W porządku.

Stali przez chwilę razem w zupełnej ciszy, smagani przez wiatr.

- Mam z tobą więcej problemów, niż mogłem przewidzieć - odburknął.

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

- Tak. Jestem pewien, że nie rozumiesz.

Ruszył w stronę samochodu, po chwili zatrzymał się. Wahał się przez moment, po czym wyciągnął do niej rękę. Laine patrzyła na nią i nie była pewna, co Dillon jej oferuje. Uznała, że w sumie nie ma to znaczenia, i podała mu swoją.

Podczas jazdy samochodem Dillon rozmawiał swobodnie. Jego nastrój poprawił się. Laine poszła w jego ślady. Gdy Dillon znowu zatrzymał samochód, nie wahała się i chwyciła go za rękę.

Poprowadził ją ścieżką wśród palm. Poruszał się tak, jakby doskonale znał drogę. Usłyszała z daleka szum wody. Kiedy ujrzała źródło tego hałasu, oniemiała z wrażenia. Jej oczom ukazało się otoczone gęstymi drzewami jezioro, do którego wpadał wodospad.

- Och, Dillon. Tu jest cudownie! Nie ma drugiego takiego miejsca na świecie! - Podbiegła na brzeg i zanurzyła dłonie w wodzie. - Gdybym tylko mogła, przyszedłabym tu popływać w świetle księżyca. - Zaśmiała się, po czym wstała, rozchlapując wodę wokół siebie. - Tylko z kwiatami we włosach.

- To jedyne dopuszczalne zachowanie. Tak stanowi prawo wyspy.

Śmiejąc się, podbiegła w stronę krzaka hibiskusa i zerwała kwiat.

- Potrzebowałabym jeszcze długich ciemnych włosów i skóry w kolorze miodu.

Wziął od niej kwiat i zatknął go za jej uchem. Przyjrzał się efektowi, uśmiechnął zadowolony i przesunął palcem po jej policzku.

- Były czasy, kiedy czczono by cię z wszelkimi na-

leżnymi honorami, a następnie zrzucano ze skał zazdrośnym bogom.

- Nie wierzę, że coś takiego spotkałoby akurat mnie.  
- Całkowicie oczarowana miejscem, Laine zakreśliła się wokół własnej osi. - Czy to sekretne miejsce? Sprawia wrażenie takiego. - Usiadła na brzegu stawu, zdjęła buty i zanurzyła stopy w wodzie.

- Jeśli chcesz, może takim pozostać. - Dillon przysiadł się do niej. - W każdym razie nie ma go w przewodnikach.

' - Jest coś magicznego w tym miejscu. Podobnie jak w tamtej małej zatoczce. Czujesz to, Dillon? Zdajesz sobie sprawę z cudowności i niezwykłości tych miejsc, czy może uodporniłeś się na takie widoki?

- Nie uodporniłem się na piękno. - Uniósł jej dłoń do swoich ust. - Dreszcz rozkoszy wstrząsnął jej ciałem. Dillon odwrócił jej rękę i pocałował wnętrze dłoni.  
- Nie wierzę, że kiedy mieszkałaś piętnaście lat w Paryżu, nikt nigdy nie całował twoich rąk. Widziałem to na filmach.

Spokój w jego głosie pomógł jej odzyskać równowagę.

- Właściwie do tej pory wszyscy całowali moją lewą rękę. Zaskoczyłeś mnie, całując prawą. - Machnęła nogą w wodzie, rozchlapując ją. Patrzyła, jak krople łapią promienie słońca, a potem znowu spadają do wody. - Kiedyś, kiedy będzie padało i wilgoć wkładać się będzie niemal wszędzie, wspomnę ten widok. - Jej głos zmienił się, pojawiła się w nim nuta tęsknoty i pragnienia. - A kiedy nadejdzie wiosna i kwiaty wypuszczą

pałki, będę wspominać zapachy tej wyspy. A gdy słońce zaświeci w niedzielę, a ja będę spacerować wzdłuż Sekwany, przypomnę sobie ten wodospad.

Deszcz lunął bez ostrzeżenia. Dillon zerwał się na równe nogi i pociągnął Laine w stronę palm.

- Deszcz jest ciepły i przyjemny. - Wychyliła się spod liści i łapała krople w dłonie.

- Cała przemokniesz. Chyba podobają ci się takie kąpiele w ubraniu. - Wciągnął ją z powrotem pod palmę.

- Tak, chyba tak. - Zafascynowana obserwowała zmieniającą się pod wpływem deszczu przyrodę. - Tak wiele miejsc na tej wyspie wydaje się nietkniętych i nieskażonych. Bałam się, kiedy staliśmy nad urwiskiem i patrzyliśmy na morze. Zawsze byłam tchórzem. Ale mimo lęku, jaki odczuwałam, widok był cudowny, tak porażająco wspaniały, że nie mogłam oderwać wzroku.

- Tchórzem? - Dillon usiadł na ziemi i pociągnął ją w dół do siebie. Oparła głowę na jego ramieniu. - Powiedziałbym raczej, że byłaś nadzwyczaj dzielna. Wczoraj podczas burzy też nie spanikowałaś.

- Nie, ale z trudem uniknęłam napadu hysterii.

Dillon zaśmiał się głośno.

- Udało ci się też przetrwać mały pokaz, gdy lecieliśmy z Oahu.

- To dlatego, że byłam zła. - Odrzuciła do tyłu mokre włosy. - To było bardzo niemiłe z twojej strony.

- Chyba masz rację. Często jestem niemiły.

- Myślę, że częściej jesteś miły niż na odwrót. Ale jednocześnie myślę, że jesteś mężczyzną, który nie zniósłby etykiety sympatycznego faceta.

- To dość dziwna opinia jak na tak krótką znajomość, nie sądzisz?

Odpowiedziała jedynie wzruszeniem ramion.

- Ta twoja szkoła - zmienił temat. - Jaka jest?

- Szkoła jak każda inna. Wiesz, z chichoczącymi dziewczętami i zasadami do łamania.

- Szkoła z internatem?

- Tak. Dillon, to nie czas ani miejsce, żeby rozmawiać o planach lekcji i nauce. Już niedługo będę musiała znowu się z tym zmierzyć. A w tym baśniowym otoczeniu chcę udawać, że jestem stąd. *Ah, regarded* - Laine uniosła się, żywo gestykulując. - *Un arc-en-ciel*.

- Zgaduję, że mówisz o tęczy. - Rzucił okiem na niebo, potem ponownie na jej twarz.

- Nawet o dwóch. Jak to możliwe, że są dwie?

- Podwójne tęcze to tutaj nic nadzwyczajnego.

Zaczął wyjaśniać jej proces powstawania tęczy, ale przerwała mu.

- Nie mów, proszę. Czar pryśnie, jeśli mi wszystko wyjaśnisz. - Uśmiechnęła się, dając mu do zrozumienia, że rzeczy naprawdę cenne woli pozostawić niewyjaśnione. - Nie chcę rozumieć - wyszeptwała, akceptując w duszy zarówno tęczę, jak i swoją miłość do niego, bez logicznego wytłumaczenia. - Chcę po prostu korzystać z chwili i cieszyć się. - Odchyliła głowę do tyłu i podała mu swoje usta. - Czy mnie pocałujesz?

Uniosł dłonie do jej twarzy. Powiodł delikatnie palcami po jej policzkach. W ciszy pieścił palcami aksamitną skórę jej twarzy. Usta podążyły w ślad za dłońmi. Laine przymknęła oczy i pomyślała, że nigdy nie do-

znała przyjemniejszego uczucia niż dotyk jego ust. Musnął wargami jej usta. Zdawał się zadowolony z powolnego poznawania jej ciała. Delektował się jej smakiem. Całował jej szyję, szczypał wargami płatki jej uszu, po czym ponownie powrócił do ust. Językiem rozchylił jej wargi. Laine czuła, że serce jej bije coraz szybciej, aż zaszumiało jej w uszach. Przyciągnęła go bliżej, czując, że jej pragnienie rośnie. Kusząco otarła się ciałem o jego ciało.

Dillon zaklął gwałtownie i odsunął ją od siebie. Nadal ramionami oplatała jego szyję, a palcami mierzwiła jego włosy. Spojrzał w jej oczy, w których czaiła się namiętność. Laine, nieświadoma siły swego uwodzenia, westchnęła jego imię i ucałowała go miękko w oba policzki.

- Pragnę cię - oznajmił półszepem i przylgnął wargami do jej ust z nową namiętnością. Oddała się mu, jak młode drzewo oddaje się we władanie wiatru.

Jego ręce pieściły ją tak, jakby Dillon chciał poznać każdy fragment jej ciała, każdą jej tajemnicę. A Laine, która nigdy nie znała tak intymnego dotyku mężczyzny, smakowała przyjemność płynącą z fizycznego kontaktu. Jej ciało wyginało się pod wpływem jego dotyku, gorliwie reagując na każde muśnięcie. Byli jak nauczyciel i uczennica. Jej skóra była gorąca, a krew szybciej krążyła w jej żyłach. Mały płomyk rozgorzał wielkim ogniem. Zadrzała i wyszeptała jego imię. Była tak speszona nowym, nieznanym jej dotąd doznaniem, że czuła się niemal tak, jakby podchodziła na brzeg urwiska.

Dillon odsunął się od niej i ucałował ją w czubek

głowy, mimo iż Laine nadal szukała ustami jego warg. Przytulił jej głowę do swojej piersi. Słyszała, jak mocno i szybko bije mu serce. Zamknęła oczy i uśmiechnęła się. Dillon wstał, wsunął ręce w kieszenie i odwrócił się do niej tyłem.

- Przestało padać - powiedział, ale Laine słyszała zmianę w tonie jego głosu i widziała, że wziął głęboki oddech, zanim ponownie się do niej odwrócił. - Lepiej już chodźmy.

Wyraz jego twarzy był nieodgadniony. Mimo usilnych prób, Laine nie znajdowała słów, które przerwałyby niezręczną ciszę, jaka nastąpiła, i zmniejszyły dystans, jaki nagle ich rozdzielił. Ich spojrzenia spotkały się, zadając pytanie, którego usta nie umiały wypowiedzieć. Dillon otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale wycofał się. Spuściła wzrok. Dillon uniósł jej brodę i bez słowa złożył pocałunek na jej ustach, a potem powiodł ją w kierunku samochodu.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Słońce świeciło wysoko na niebie, kiedy ich samochód przemierzał autostradę. Dillon rozpoczął niezobowiązującą rozmowę, tak jakby namiętność opadła z niego wraz z minionym deszczem. Laine czuła, że nie może się wyswobodzić z silnych uczuć, które nią zawładnęły.

Mężczyźni, pomyślała, znacznie lepiej radzą sobie z potrzebami ciała niż kobiety z potrzebami serca. Dillon jej pragnął. Nawet jeśli tego nie powiedział słowami, ona doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Jego zachowanie nie pozostawiało cienia wątpliwości. Laine poczuła, że się rumieni, kiedy przypomniła sobie swą gotowość do odwzajemnienia jego pieśczoł. Odwróciła głowę i udawała, że podziwia widoki. W istocie zastanawiała się, co ją czeka w najbliższym czasie.

W ciągu tygodnia opuści wyspę. Porzuci nie tylko ojca, za którym tęskniła przez całe swoje życie, ale także mężczyznę, który zawładnął całym jej sercem. Być może, pomyślała, wdychając, zawsze obdarzam miłością kogoś, kto nie może być mój. Miri powiedziała, że muszę walczyć, tak jak walczą kobiety, ale nie wiem, od czego powinnam zacząć. Może powinnam po prostu powiedzieć Dillonowi o moich uczuciach? Jeśli będzie

wiedział, że nie chce od niego nic więcej poza miłością, mógłby to być początek czegoś pięknego. Być może znalazłabym tu jakąś pracę i mogłabym zostać dłużej na Kauai. Ta myśl wyraźnie poprawiła jej humor. Ponownie zapatrzyła się w widok za oknem.

- Co to za roślina tam rośnie? Czy to bambus?

- Trzcina cukrowa - odpowiedział, nie patrząc na pola.

- Wygląda jak dżungla. - Zafascynowana wyjrzała przez okno, a wiatr owiał jej twarz. - Nie przypuszczałam, że trzcina rośnie tak wysoko.

- Osiąga ponad sześć metrów wysokości, ale nie rośnie tak szybko jak dżungla w tej części świata. Dojrzewa od półtora roku do dwóch lat.

- Jest jej tak dużo! - Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć, i odgarnęła kosmyki loków z twarzy. - Domyślałam się, że to plantacja, ale trudno mi sobie wyobrazić, że to własność jednej osoby. Żeby zebrać plony, musi tu pracować bardzo wielu ludzi.

Przerwała obserwację pól i rozważania nad zbiorami, gdy w oddali dojrzała białe ściany skapanego w słońcu domu. Wysoki budynek w kolonialnym stylu stał dumnie pośród bujnej trawy. Z balkonów spływały pnącza winorośli. Wysokie, wąskie okna zabezpieczone były jasnoszarymi okiennicami. Laine przez chwilę pomyślała, że dom idealnie pasowałby do scenerii z plantacji w starej Luizjanie.

- Cóż za cudowny dom! Widok z balkonów musi być wspaniały - zachwyciła się Laine i jednocześnie zdziwiła, widząc, że Dillon zatrzymuje samochód

i otwiera jej drzwi. - To prywatna posiadłość, prawda? Czy możemy tu przebywać?

- Jasne. To mój dom. - Obszedł samochód i pochylił się nad nią. - Będziesz tu siedzieć z otwartymi ustami czy wejdiesz do środka? Wyglądasz na zaskoczoną. Spodziewałaś się szałasu z hamakiem?

- Dlaczego? Nie, w zasadzie nie wiem, czego dokładnie się spodziewałam, ale... - Rozejrzała się wokół zdezorientowana. - Pola... - zaczęła. - Czy one też są twoje?

- Wziąłem je razem z domem.

Laine nie mogła wykrztusić z siebie słowa. Po kamiennych stopniach podążyła za Dillonem. Przez szerokie, mahoniowe drzwi weszli do środka. Nie zdążyła się rozejrzeć, bo Dillon poprowadził ją prosto do salonu. Wzdłuż intensywnie kremowych ścian stały ciemne, stare meble. Na drewnianej podłodze leżał dywan. Ciemne zasłony zostały rozsunięte tak, aby przez szerokie okno można było podziwiać wypielegnowany trawnik.

- Usiądź. - Dillon wskazał krzesło. - Poszukam czegoś chłodnego do picia.

Laine kiwnęła posłusznie głową. Odczekała chwilę, aż odgłos kroków Dillona ucichł, i wolno rozejrzała się po pokoju.

Niezaprzeczalnie wyczuwało się, że dom prowadzony jest przez zamożną osobę. Do tej pory Laine nie myślała w ten sposób o Dillonie. Przyszło jej do głowy, że jego bogactwo to przeszkoda nie do pokonania i że Dillon nigdy nie uwierzy w szczerą jej intencję. Bę-

dzie sądził, że to jego pieniądze wzbudziły jej uczucia. Laine westchnęła rozpaczliwie i podeszła do okna.

Po kilku minutach usłyszała, że Dillon wraca. Kiedy wszedł, uśmiechnęła się do niego ostrożnie.

- Masz przepiękny dom. - Wzięła od niego wysoką szklankę i podeszła do krzesła.

- Dobrze mi służy. - Usiadł naprzeciwko niej, trochę zaskoczony jej oficjalnym tonem.

- Sam go zbudowałeś?

- Nie, mój dziadek to zrobił. - Odchylił się na krześle i przyglądał się jej z rozmysłem. - Był marynarzem. Uważał Kauai za drugą, zaraz po morzu, najcudowniejszą rzecz na świecie.

- Ale ty wybrałaś samoloty, a nie morze ani pola. - Laine upiła ze szklanki mały łyk.

- Dzięki uprawom mogę realizować swoje cele. Pola są bardzo dochodowe, a nie wymagają ode mnie zbyt wiele wysiłku. - Odstawił szklankę na stół. - Mój ojciec zmarł na kilka miesięcy przed tym, nim poznałem kapitana. Obaj brnęliśmy w beznadzieję, tylko że ja byłem wściekły, a on... - Dillon zawahał się przez chwilę. - Był taki, jaki jest zawsze. Pasowaliśmy do siebie. Miał jeden samolot i przewoził ludzi na wyspę. Ja potrzebowałem czasu na naukę, kapitan chciał mnie uczyć. Szukałem równowagi, a on czuł potrzebę, by mi ją przywrócić. Kilka lat później zbudowaliśmy nasze wymarzone lotnisko.

Laine spuściła wzrok, patrząc na szklankę.

- I to wszystko za pieniądze z upraw?

- Tak jak powiedziałem, pola spełniają swoją rolę.

- A zatoka, w której pływaliśmy, też jest twoja, tak?  
- Spojrzała na niego.

- Zgadza się.

- Dom mojego ojca. - Laine przełknęła ślinę, czując, jak zasycha jej w gardle. - Czy on też stoi na twojej ziemi?

Dostrzegła błysk gniewu w jego oczach, który jednak szybko ustąpił.

- Kapitan miał słabość do tego skrawka łądu, więc go sobie kupił - odpowiedział łagodnie.

- Od ciebie?

- Tak, ode mnie. Czy to coś zmienia?

- Nie - odparła. - Po prostu pewne rzeczy zaczynam postrzegać w nowy sposób. - Laine odstawiała szklankę i złożyła dłonie razem. - Wygląda na to, że jesteś o niebo bliższy memu ojcu niż ja.

- Laine... - Dillon odetchnął głęboko, wstał i przeszedł się nerwowo po pokoju. - Kapitan i ja rozumiemy się doskonale. Znamy się od ponad piętnastu lat. Jest częścią mojego życia.

- Nie proszę, żebyś się tłumaczył. Przepraszam, jeśli tak to zabrzmiało. - Laine wstała, starając się uspokoić głos. - Kiedy wrócę w przyszłym tygodniu do Francji, będę spokojna, że ojciec zawsze będzie miał w tobie oparcie.

- W przyszłym tygodniu? - Dillon zatrzymał się.  
- Chcesz wyjechać w przyszłym tygodniu?

- Tak - odparła, choć przerażała ją myśl o tym, jak szybko tych siedem dni minie. - Zawarliśmy układ, że mogę zostać przez dwa tygodnie, a czas mija. Pora wracać do własnych spraw.

- Czujesz się zraniona, bo kapitan nie zareagował tak, jak na to liczyłaś?

Zaskoczył ją zarówno tym, co powiedział, jak i łagodnym sposobem, w jaki to zrobił.

- Zmieniłam wyobrażenie na temat bardzo wielu spraw. - Sporo wysiłku kosztowało ją zachowanie spokoju i nieuciekanie wzrokiem przed jego oczami. - Poczekaj. - Potrząsnęła głową, kiedy próbował coś powiedzieć. - Wolę o tym nie mówić. To tylko wszystko bardziej skomplikuje.

- Laine. - Położył dłonie na jej ramionach. - Jest wiele rzeczy, o których ty i ja powinniśmy porozmawiać, bez względu na to, czy są one skomplikowane i trudne, czy nie. Nie możesz tak ciągle zamykać się w sobie. Chcę... - Przerwał mu dzwonek u drzwi wejściowych. Zaklął zniecierpliwiony i poszedł otworzyć.

Z korytarza do uszu Laine dobiegł łagodny, melodyjny głos. Uprzejmym uśmiechem powitała Orchideę King, która, wsparta na ramieniu Dillona, weszła do salonu.

Laine uderzyło, że Orchidea i Dillon wyglądają jak para. Egzotyczna uroda Orchidei doskonale uzupełniała surowe, proste oblicze Dillona. Jej kobiece krągłości idealnie pasowały do jego szczupłej sylwetki. Patrząc na nią, Laine czuła się zaniedbana i prowincjonalna.

- Dzień dobry, panno Simmons. - Orchidea zacisnęła dłoń na ramieniu Dillona. - Jak miło znów panią widzieć.

- Dzień dobry, panno King. - Poirytowana własną niepewnością, Laine spojrzała na Orchideę chłodnym wzrokiem. - Sama pani powiedziała, że wyspa jest mała.

- Rzeczywiście. Jak sędzę, miała pani okazję zobaczyć choć trochę.

- Zabrałem dziś Laine na małą wycieczkę. - Dillon patrzył na Laine i nie mógł zauważyć błysku w bursztynowych oczach Orchidei.

- No cóż, nie mogła trafić na lepszego przewodnika. - Odwróciła się bardziej do Dillona. - Cieszę się, że cię zastałam. Przyszłam upewnić się, że pamiętasz o luau jutro wieczorem. Bez ciebie nie będzie zabawy.

- Przyjdę. Będziesz tańczyć?

Laine zauważyła, że mówiąc to, Dillon nieznacznie się uśmiechnął.

- Oczywiście, Tommy tego oczekuje.

Dillon wyszczerzył zęby w uśmiechu. Spojrzał na Laine i pospieszył z wyjaśnieniem.

- Tommy to siostrzeniec Miri. Jutro obchodzi swoje coroczne święto luau. Na pewno spodoba ci się ta uroczystość.

- O tak - zgodziła się Orchidea. - Żaden turysta nie może opuścić wyspy, nie uczestnicząc wcześniej w luau. Zamierzasz zwiedzić inne wyspy podczas wakacji?

- Obawiam się, że będą musiały poczekać na mnie do następnego razu. Przykro to mówić, ale kompletnie zawałam obowiązki turysty. Głównym celem mojej wizyty na Kauai była chęć zobaczenia ojca.

Gwałtownie i ze zniecierpliwieniem Dillon wyswobodził się z uścisku Orchidei.

- Muszę zobaczyć się z nadzorcą. Dotrzymaj, proszę, towarzystwa Laine przez kilka minut, dobrze?

- Naturalnie. - Orchidea rozpuściła włosy.

- Panno Simmons, proszę się rozgościć. - Orchidea przejęła rolę gospodyni domu, gdy Dillon je opuścił. - Co mogę pani zaproponować? Coś chłodnego do picia?

Wściekła, że znalazła się w roli gościa Orchidei, Laine z trudem opanowała nerwy.

- Dziękuję, nie. Dillon już o wszystko zadbał.

- Wygląda na to, że spędzacie razem dużo czasu - skomentowała Orchidea i usiadła na krześle. Skrzyżowała nogi.

Bardzo długie nogi, pomyślała Laine. Wyglądające jak z reklamy hawajskich atrakcji.

- Szczególnie jak na kogoś, kto przyjechał odwiedzić ojca - dodała Orchidea.

- Dillon bardzo hojnie szafował swoim czasem. - Laine przyjęła postawę Orchidei, nie mając jednak pewności, czy jest przygotowana na słowny pojedynek.

- On w ogóle jest bardzo hojny. - Orchidea spojrzała na Laine pobłażliwie. - Łatwo jednak źle zinterpretować jego wielkoduszność, jeśli nie zna się go tak dobrze, jak na przykład ja. On potrafi być doprawdy czarujący.

- Czarujący? - Laine powtórzyła z nutką powątpiewania. - Dziwne. Czarujący to słowo, które nie przyszłoby mi do głowy na myśl o Dillonie. Ale znasz go dużo lepiej niż ja...

Orchidea złączyła dłonie i spojrzała na Laine.

- Panno Laine, darujmy sobie może ten ugrzeczniony ton, kiedy jesteśmy same.

- Twój wybór, panno King. - Laine kiwnęła głową.

- Zamierzam poślubić Dillona.



- Brzmi groźnie. - Serce Laine zabiło mocniej. - Przypuszczam, że Dillon zna ten plan?

- Dillon wie, że go pragnę - odparła Orchidea, zirytowana reakcją Laine. - Nie podoba mi się, że spędzacie razem tyle czasu.

- No to jest problem, panno King. - Laine uniosła szklankę do ust i upiła mały łyk. - Ale nie sądzi pani, że rozmawia z niewłaściwą osobą? Jestem przekonana, że rozmowa z Dillonem byłaby bardziej efektywna.

- Nie wydaje mi się, żeby to było konieczne. - Uśmiechnęła się niemal przyjaźnie. - Jestem pewna, że możemy to załatwić między sobą. Nie sądzisz, że poproszenie Dillona o naukę latania było dość perfidne?

Laine poczuła, jak ogarnia ją wściekłość na myśl o tym, że Dillon rozmawiał o niej z Orchideą.

- Perfidne?

Orchidea machnęła niecierpliwie ręką.

- Na chwilę odwróciłaś uwagę Dillona. Być może udało ci się to dlatego, że jesteś tak bardzo różna od typu kobiet, jakie on preferuje. No ale taka słodziutka postać nie będzie go interesować zbyt długo. - Jej melodyjny głos stracił swój wdzięk. - Wyrafinowana elegancja nie rozgrzewa mężczyzn, a Dillon z pewnością jest prawdziwym mężczyzną.

- O, tak. Dość wyraźnie dał mi to odczuć. - Laine nie mogła powstrzymać się przed takim komentarzem.

- Ostrzegam cię... - syknęła Orchidea. - Mogę spowodować, że nie będzie ci do śmiechu.

- Jestem przekonana, że mogłabyś to zrobić. Prawdę mówiąc, do tej pory też nie było mi wesoło.

- Dillon potrafi być bardzo mściwy, kiedy zorientuje się, że jest oszukiwany. Skończysz, tracąc więcej, niż chciałaś zdobyć.

- *Nom de Dieul* - Laine zerwała się na nogi. - Tak chcesz ze mną grać? - Machnęła pogardliwie ręką. - Nie mam ochoty na takie wzajemne podchody.

- Jeszcze nie zaczęłyśmy grać. - Odchyliła się na krzesle, zadowolona ze zdenerwowania Laine. - Jeśli nie podobają ci się reguły, to lepiej się wycofaj. Nie zamierzam cię tu dłużej znosić.

- Znosić mnie? - Głos Laine drżał z wściekłości. - Nikt, panno King, absolutnie nikt nie będzie mi mówił, co mam robić. Twoje groźby są żałosne.

Słyszając to, Orchidea wstała i oparła zaciśnięte pięści na biodrach.

- Czego ty ode mnie chcesz? - Laine zażądała wyjaśnień. - Żądasz zapewnienia, że nie będę ingerować w twoje plany? W porządku, z przyjemnością to zrobię. Dillon jest twój!

- To miło z twojej strony.

Obie kobiety odwróciły się gwałtownie na dźwięk głosu Dillona, który stał oparty o framugę drzwi.

- Och, Dillon. Tak szybko wróciłeś? - Głos Orchidei nie brzmiał już tak wyraźnie jak przed chwilą.

- Najwyraźniej niewystarczająco szybko. - Dillon wpatrywał się w Laine. - O co chodzi?

- Ot, taka kobieca rozmowa, nic ważnego. - Orchidea przylgnęła do jego boku. - Właśnie poznawałyśmy się z Laine.

- Laine, co się stało?

- Nic istotnego. Myślę, że powinnam już sobie pójść. - Nie czekając na odpowiedź, wzięła swoją torbę i ruszyła w stronę drzwi.

Dillon zagroził jej drogę.

- Zadałem ci pytanie.

- A ja odpowiedziałam dokładnie tak, jak chciałam.

- Spojrzała na niego. - Wystarczy tych wszystkich pytań, nie masz prawa mnie przesłuchiwać. Nic dla ciebie nie znaczę. Nie masz prawa mnie krytykować, jak to robisz od samego początku. Nie masz prawa oceniać - mówiła zdenerwowana. - I nie możesz się ze mną kochać tylko dlatego, że tobie sprawia to przyjemność.

Wybiegła na zewnątrz, a on tylko wpatrywał się w drzwi, które zatrzasnęła za sobą z hukiem.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Resztę dnia Laine spędziła w swoim pokoju. Starła się nie rozmyślać o scenie z domu Dillona. Ani o pełnej smutku i złości drodze powrotnej. Pomyślała, że trwałość serdecznych bądź przynajmniej sympatycznych stosunków między nimi ograniczała się ledwie do kilku godzin. Uznała, że już najwyższy czas, żeby opuścić wyspę. Kiedy zastanawiała się nad podróżą, naszły ją wątpliwości, czy wystarczy jej pieniędzy na powrót.

Westchnęła na myśl, że w każdym razie kupując bilet, wyda wszystkie pieniądze. A przecież nie mogła wrócić do Francji bez grosza przy duszy. Jeśli cokolwiek pójdzie nie po jej myśli, nie będzie miała rezerwy finansowej.

Usiadła na łóżku i zastanawiała się, jak temu zaradzić. Nie chciała prosić ojca o pieniądze. Duma nie pozwalała jej również zwrócić się o pożyczkę do przyjaciół. Sfrustrowana spojrzała na kilka banknotów, które leżały przed nią. No cóż, same się nie rozmnożą, pomyślała.

Podeszła do szafki i wzięła do ręki małe pudełko. Wyjęła z niego złoty medalion. Przyglądała mu się przez chwilę. Był to prezent od ojca dla matki, który Vanessa podarowała Laine na jej szesnaste urodziny.

Laine pamiętała dobrze, jaką przyjemność sprawił jej prezent, który choć nie trafił do niej bezpośrednio, był podarunkiem od ojca. Nosiła go zawsze na szyi. Zdjęła tylko przed lotem na Hawaje, w obawie, żeby nie sprawił ojcu przykrości. Była to jedyna wartościowa rzecz, jaka jej została. I musiała ją teraz sprzedać.

Ktoś otworzył drzwi do pokoju. Laine schowała pudełko za plecami i odwróciła się w stronę Miri, która właśnie weszła.

- Coś nabroiłaś? - spytała Miri, widząc rumieniec zmieszania na twarzy Laine.

- Nie.

- Ale tak właśnie wyglądasz. Masz. - Położyła na łóżku niezwyklej urody suknię w kolorach jasnoniebieskim i połyskliwym białym. - To dla ciebie. Założysz to na jutrzejsze luau.

- Och! - jęknęła Laine, zachwycona widokiem cudownego stroju. Wyobraziła sobie, jak wspaniały musi być w dotyku. - Jest piękna. Ale nie mogę tego przyjąć.

- Nie podoba ci się mój prezent? - spytała Miri władcym tonem. - Jesteś wyjątkowo niegrzeczna.

- Ależ nie... - Speszyła się z powodu swego zachowania. - Jest piękna, naprawdę - zaczęła się tłumaczyć. - Tylko ja...

- Powinnaś nauczyć się dziękować, a nie kłócić. Będzie pasowała na ciebie, chudzielcu. - Miri uśmiechnęła się. - Jutro pokażę ci, jak to założyć.

Laine nie potrafiła się powstrzymać i dotknęła tkaniny, żeby poczuć przyjemny, chłodny materiał pod palcami. Odwróciła się z westchnieniem w stronę Miri.

- Dziękuję ci. To bardzo miłe z twojej strony.

- O, tak jest znacznie lepiej - zgodziła się Miii i poklepała Laine. - Jesteś ślicznym dzieckiem. Powinnaś się więcej uśmiechać, bo kiedy się uśmiechasz, to cały smutek znika.

Laine poczuła, że pudełko zaczyna niewyobrażalnie ciężać w jej dłoni. Wyciągnęła je przed siebie i otworzyła.

- Miri, może potrafiłabyś doradzić mi, gdzie mogę to sprzedać?

Miri przesunęła pulchnym palcem po złotym medalionie, a następnie spojrzała na Laine. Laine dostrzegła, znaną już jej, zmarszczkę na czole Miri.

- Dlaczego chcesz sprzedać coś tak ładnego? Nie podoba ci się?

- Nie, nie. Bardzo mi się podoba. - Bezradna pod wzrokiem Miri, wzruszyła ramionami. - Potrzebuję pieniędzy.

- Pieniądzy? A po co ci pieniądze?

- Na podróż i życie... Na powrót do Francji.

- Nie podoba ci się na Kauai?

Oburzenie w jej głosie sprawiło, że Laine uśmiechnęła się i potrząsnęła przecząco głową.

- Na Kauai jest przepięknie. Chciałabym zostać tu na zawsze, ale muszę wracać do pracy.

- I co tam będziesz robić? - Miri machnęła ręką z lekceważeniem i usadowiła swe pulchne ciało na krześle.

- Uczyć. - Laine usiadła na łóżku i zamknęła wieczko pudełka z medalionem.

- To oni ci nie płacą za nauczanie? - Miri wyduła usta z wyraźną dezaprobatą. - Co zrobiłaś ze swoimi pieniędzmi?

Laine zarumieniła się, czując się jak dziecko, które zostało przyłapano na tym, że wydało całe kieszonkowe na cukierki.

- Bo... były długi i ja...

- Ty masz długi?

- No... nie... niedokładnie. - Wzruszyła ramionami. Miri siedziała w bezruchu, czekając na wyjaśnienia. Laine skapitulowała. Powoli zaczęła opowiadać o ogromnych długach, jakie odkryła po śmierci matki, o konieczności wyprzedania majątku i stałym obciążeniu jej własnych środków finansowych. Miri nie przerywała jej wypowiedzi, a Laine czuła, że to wyznanie przyniesie jej ulgę i pozwoli uwolnić się od rozterek i rozżalenia.

- I wtedy, kiedy znalazłam adres ojca pomiędzy jej osobistymi dokumentami, zabrałam to, co mi jeszcze zostało, i przyjechałam tutaj. Obawiam się, że nie za dobrze wszystko zaplanowałam, a żeby móc wrócić... - Ponownie wzruszyła ramionami i umilkła. Miri pokiwała głową.

- Dlaczego nie powiedziałaś kapitanowi? On nie pozwoliłby swojej córce sprzedawać własnych błyskotek. To dobry człowiek. Nie pozwoliłby ci w obcym kraju liczyć nerwowo grosików.

- On nic mi nie jest winien.

- Jest twoim ojcem - oznajmiła Miri. Uniosła brodę i spojrzała na Laine z góry.

- Ale nie jest odpowiedzialny za sytuację, którą

stworzyło nieodpowiedzialne postępowanie Vanessy i moja impulsywność. Mógłby pomyśleć... Nie. - Potrząsnęła głową. - Nie chcę, żeby wiedział. To dla mnie bardzo ważne, żeby się nie wydało. Musisz mi obiecać, że nic mu nie powiesz.

- Jesteś bardzo upartą dziewczyną. - Miri skrzyżowała ramiona i przyjrzała się Laine, ale dziewczyna patrzyła na nią stanowczo. - W porządku - westchnęła. - Musisz zrobić to, co ci serce podpowiada. Jutro poznasz mojego siostrzeńca, Tommy'ego. Poproś go, żeby przyszedł i zerknął na twoje cacko. Jest jubilerem i da ci uczciwą cenę.

, - Dziękuję ci, Miri. - Laine uśmiechnęła się, czując, że znika część przygniatającego ją brzemienia.

- Spędziłaś z Dillonem miły dzień?

- Byliśmy w jego domu - odpowiedziała wymijająco. - Robi wrażenie.

- To bardzo miłe miejsce - zgodziła się Miri i wytarła nieistniejący kurz z oparcia krzesła. - Moja kuzynka mu gotuje, ale nie jest tak dobra jak ja.

- Wpadła też panna King - kontynuowała Laine, starając się zachować obojętny ton, ale Miri czujnie uniosła brwi.

- Hmm. - Miri pogładziła jedwabny materiał swego kwiecistego muumuu.

- Miałyśmy niezbyt miłą rozmowę, kiedy Dillon zostawił nas same. Kiedy wrócił... - Laine zrobiła pauzę i zmarszczyła brwi. - Nakrzyczałam na niego.

Miri roześmiała się, trzymając się za brzuch. Jej śmiech rozbrzmiewał w całym domu.



- A więc ty umiesz krzyżeć, chudzielcu. Chciałabym to zobaczyć.

- Nie sądzę, żeby Dillon uznał to za tak zabawne.  
- Laine uśmiechnęła się, choć wcale nie było jej do śmiechu.

Miri pokręciła głową.

- Zanadto przyzwyczał się do traktowania kobiet na swój sposób. Jest zbyt przystojny i ma zbyt dużo pieniędzy. - Oparła rękę na wydatnym brzuchu. - Jest dobrym szefem i kiedy zachodzi taka potrzeba, sam pracuje w polu. Ma wysokie kwalifikacje w wielu dziedzinach. Jest bardzo bystry. - Stuknęła się palcem w skroń.  
- Kiedyś był bardzo niegrzecznym chłopcem i robił różne figle. - Jej usta zadrżały, gdy próbowała ukryć rozbawienie, jakie niosły ze sobą wspomnienia. - Nadal nie jest grzecznym chłopcem - dodała. - Jest bardzo mądry i bardzo potrzebny. - Zatoczyła rękami koło, podkreślając tym samym wagę swoich słów, ale w jej głosie słychać było matczyną krytykę. - Ale niezależnie od tego, co myśli, on po prostu nie zna się na kobietach.  
- Pogładziła Laine po głowie i wskazała na jedwabną kreację. - Załóżysz to jutro i wepniesz kwiat we włosy. Jutro będzie pełnia.

Noc była przepiękna. Ze swego okna Laine mogła podziwiać gwiazdy odbijające się w tafli morza. Bryza owiewała jej nagie ramiona. Laine pomyślała, że ta noc jest idealna na luau.

Nie widziała Dillona od poprzedniego dnia. Wrócił do domu długo po tym, jak Laine położyła się spać,

a wyszedł rano, zanim Laine się obudziła. Obiecała sobie jednak, że ich ostatnie nieporozumienie nie zakłóci uroku tego wieczoru. Jeśli to miały być ostatnie dni w jego towarzystwie, postara się, aby były one przyjemne.

Laine odwróciła się od okna i przyjrzała swemu odbiciu w lustrze. Patrzyła na kobietę w lustrze i widziała, że zaszły w niej zmiany. Nie zdawała sobie do końca sprawy, że w ciągu tych kilku ostatnich dni zmieniała się z dziewczyny w kobietę. Ostatni raz przeczesła włosy i wyszła z pokoju. Usłyszała głos Dillona. Nagle wydało jej się, że od czasu, kiedy słyszała go po raz ostatni, minęły całe wieki.

- Będziemy zbierać plony w przyszłym miesiącu, ale gdybym znał plan spotkań z wystarczającym wyprzedzeniem, mógłbym...

Jego głos przycichł, kiedy Laine pojawiła się w drzwiach. Dillon przerwał nalewanie drinka i uważnie jej się przyjrzał. Laine poczuła, że jej serce bije z potrójną prędkością, kiedy jego wzrok wędrował po jej ciele. Ich spojrzenia spotkały się.

Kapitan spojrzał badawczo znad swojej fajki na Dillona i dostrzegł jego zmieszanie. Podażył za jego spojrzeniem.

- Laine. - Wstał i podszedł do zaskoczonej dziewczyny, chwytając jej dłonie w swe ręce. - Cóż za piękny widok.

- Podoba ci się? - Uśmiechnęła się i spojrzała w dół na swój sarong. - Nie przywykłam do takich strojów.

- Bardzo mi się podoba, ale mówiłem o tobie. Moja

córka jest bardzo piękną kobietą, prawda, Dillon? - W jego oczach widać było radość.

- Tak. - Głos Dillona brzmiał nienaturalnie. - Bardzo piękną.

- Cieszę się, że tu jest. Tęskniłem za nią. - Ucałował ją w policzek i odwrócił się do Dillona. - Wy dwoje idźcie razem, a ja sprawdzę, czy Miri jest gotowa. Zapewne jeszcze nie jest, więc dołączymy do was później.

Laine patrzyła, jak odchodził. Uniosła dłoń do policzka, nie mogąc uwierzyć, że tak mocno poruszył ją ten drobny gest.

- Gotowa? - Usłyszała pytanie. Skinęła tylko głową. Po chwili poczuła ręce Dillona na swoich ramionach. - Niełatwo zasypać przepaść, która rosła przez piętnaście lat, ale zrobiłaś pierwszy krok.

Laine była zaskoczona, słysząc te słowa i wsparcie, jakiego udzielił jej Dillon. Przełknęła łzy wzruszenia i odwróciła się w jego kierunku.

- Dziękuję. To dla mnie niezwykle ważne, że to powiedziałeś. Dillon, wczoraj ja...

- Nie martwmy się teraz o to, co stało się wczoraj. - Uśmiechnął się, jakby chciał ją przeprosić, a jednocześnie jakby przyjmował jej przeprosiny. Przez chwilę jej się przyglądał, po czym podniósł jej dłoń do swych ust. - Jesteś niewyobrażalnie piękna. Jak kwiat rosnący na gałęzi, wysoko poza zasięgiem ręki.

Laine chciała sprostować, że nie była wcale poza jego zasięgiem, ale nieśmiałość nie pozwoliła jej na takie wyznanie. Nie mogła zrobić nic więcej poza patrzeniem mu w oczy.

- Chodźmy. - Dillon wziął ją za rękę i ruszył w kierunku drzwi.

Wyszli na zewnątrz i wsiedli do jego samochodu. Usiadła bokiem na swoim siedzeniu, żeby lepiej go widzieć i móc się do niego uśmiechać.

- Czy tam będzie dużo ludzi?

- Mniej więcej setka. - Dillon stukał palcami w kierownicę.

- Setka? - powtórzyła pytająco. Przypomniały jej się nieszczęśliwe chwile, kiedy to jej matka wydawała przyjęcia. Były nad wyraz tłoczne i przesadnie eleganckie. Tylu ludzi, tyle wymagań, tyle oceniających spojrzeń.

- Tommy ma wielu krewnych.

- Jak miło - wymruczała pod nosem, doceniając iuroki małej rodziny.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Z dala dobiegł ich niski dźwięk bębnow i zapach pieczonego mięsiwa. Na wysokich palach płonęły pochodnie. Ich pomarańczowe płomienie odcinały się wyraźnie na tle czarnego nieba. Laine czuła się tak, jakby cofnęła się w czasie. Z daleka zobaczyła tłum gości - niektórych w tradycyjnych strojach, innych, jak Dillon, w zwykłych, wygodnych dżinsach. Słysząc było gwar i śmiech. Laine rozejrzała się dookoła, zafascynowana widokiem i zapachami.

Na wielkiej, tkanej macie ustawione były drewniane misy i tace, pełne niezwykłych potraw. Dziewczęta o hebanowych włosach, odziane w ludowe suknie, kłęzcząc, nakładały dania na talerze i podawały je gościom. Bogactwo aromatów unosiło się kusząco w nocnym powietrzu. Mężczyźni o nagich torsach, przepasani szerokimi pasami, wybijali pulsujący rytm na wysokich, stożkowatych bębnach.

Laine została przedstawiona wielu osobom, których twarze rozmywały się w jej pamięci. Wydawało się, że wszyscy są tu przyjaciółmi, że są pozytywnie nastawieni do całego świata i czerpią radość z każdej drobnej chwili.

Wkrótce usiadła na trawie pomiędzy Dillonem i oj-

cem. Na talerzu pojawiły się nieznane jej dotąd przysmaki. Nagle rozległ się głośny aplauz, głośniejszy nawet niż grana w tle muzyka. Zaczęto bowiem kroić prosię.

- Proszę. - Dillon uniósł widelec i siłą wcisnął jego zawartość w zaciśnięte usta Laine.

Laine odkryła z pewnym zaskoczeniem, że smak był wyborny.

- To jest pyszne. Co to jest?

- Laulau.

- Niewiele mi to mówi.

- Ale skoro jest smaczne, co jeszcze potrzebujesz wiedzieć? - zauważył i nawet Laine musiała przyznać, że brzmiało to logicznie. - To wieprzowina z rybą, ugotowane w liściach ti - wyjaśnił. - Spróbuj tego. - Ponownie podał jej widelec, który tym razem Laine przyjęła bez protestu.

- Och! Co to jest? Nigdy nie próbowałam niczego o podobnym smaku.

- Mątwą - odpowiedział i zaśmiał się głośno, widząc, że aż zachłysnęła się ze zdumienia.

- Wierzę na słowo - odparła dostojnie. - Powinnam ograniczyć się do wieprzowiny i ananasa. Co to za napój? Nie - zdecydowała, słysząc, że jej ojciec chichocze. - Myślę, że lepiej, bym nie wiedziała.

Laine musiała przyznać, że to przyjęcie i nieformalna atmosfera bardzo się jej podobały. Starła się tylko unikać jedzenia mątwy. Od czasu do czasu ktoś zatrzymywał się koło nich, przysiadał, wymieniał kilka pozdrowień lub opowiadał długą historię. Traktowano ją z na-

turalną gościnnością i serdecznością, co sprawiło, że szybko poczuła się swobodnie. Wydawało się, że ojciec czuje się dobrze w jej towarzystwie. Mimo iż on i Dillon tworzyli koalicję, do której nie miała dostępu, Laine nie czuła się już jak intruz. Muzyka, śmiechy i oduurzający zapach nieco ją oszołomiły. Pomyślała, że jeszcze nigdy nie doznawała tak wielu intensywnych wrażeń.

Nagle bębniarze przyspieszyli tempo. Grali coraz szybciej i szybciej, po czym muzyka gwałtownie ucichła. Jedynie echo powtórzyło ich ostatnie takty w chwili, gdy przed zgromadzonymi pojawiła się Orchidea. Stała w kręgu pochodni. Jej skóra błyszczała w ich świetle, a oczy mieniły się złotem. Patrzyła na wszystkich z wyższością. Jej wspaniałe, kuszące ciało było skąpo odziane i ozdobione. Stała nieruchomo, pozwalając, aby cisza spotęgowała napięcie. Po chwili zaczęła wolno kołysać biodrami. Pojedynczy bęben wybijał rytm, który ona narzucała.

Włosy, przystrojone koroną z pąków kwiatów, opadały wzdłuż jej nagich pleców. Ręce i giętkie, kształtne ciało poruszały się zmysłowo w takt wybijanego rytmu. Laine zauważyła, że złote oczy Orchidei były utkwione w Dillonie, a uśmiech, jakim go obdarzała, wyrażał bardzo wiele. Niemal niezauważalnie tempo jej tańca zaczęło rosnać. Bębny grały intensywniej, a ruchy tancerki stały się bardziej impulsywne. Twarz miała bardzo spokojną i uśmiechniętą, choć całe jej ciało wirowało. W jednej chwili nastąpiła cisza. Dźwięki i taniec ustały gwałtownie.

Wówczas rozległy się huczne oklaski. Orchidea rzucała Laine spojrzenie pełne triumfu, po czym zdjęła z włosów kwiecistą koronę i rzuciła ją na kolana Dillona. Zaśmiała się szyderczo i zniknęła w mroku.

- Chciałabyś się tak poruszać, chudzielcu? - Laine odwróciła się i ujrzała siedzącą tuż obok niej Miri. Wyglądała jeszcze dostojniej niż zwykle, usadowiona na wysokim rattanowym krześle. - Zaczynasz jeść, więc nie wyglądasz już jak kości obciążone skórą, a ja nauczę cię tańczyć.

Laine unikała wzroku Dillona. Była zarumieniona z powodu zakłopotania, w jakie wprawiły ją słowa Miri, a także z powodu zazdrości, jaką wzbudził w niej taniec i swoboda ruchów Orchidei.

- Być może moje kształty się zaokrągłają, ale nie dorównam naturalnym zdolnościom panny King.

- Wystarczy tylko, że rozwiniesz swoje predyspozycje, księżniczko - uśmiechnął się Dillon. - Chciałbym przyjrzeć się waszej lekcji, Miri. Jak ci wiadomo, jestem znawcą i potrafię dostrzec talent. - Powiódł wzrokiem od jej nagich stóp, przez całą długość biało-niebieskiej, jedwabnej kreacji, aż do twarzy.

Miri mruknęła coś po swojemu, a Dillon zachichotał i odpowiedział jej w tym samym języku.

- Chodź ze mną - zażądała Miri. Wstała z krzesła i pociągnęła Laine za sobą. - Powiedziałam Tommy'emu, że masz błyskotkę do sprzedania - oznajmiła. - Teraz z nim porozmawiasz.

- Tak, oczywiście - odparła Laine pod nosem, gdyż urok tej nocy sprawił, że zapomniała o medalionie.



Miri zatrzymała się przed gospodarzem luau. Był to postawny, ciemnowłosy mężczyzna o miłym uśmiechu i przyjacielskim spojrzeniu. Laine oceniła, że mógł mieć około trzydziestki.

- Porozmawiasz z córką kapitana Simmonsa - zakomenderowała Miri, trzymając dłoń na ramieniu Laine. - Bądź dla niej uprzejmy, bo inaczej wytargam cię za uszy.

- Oczywiście, Miri - zgodził się, choć jego usłużny ton nie szedł w parze ze śmiejącymi się oczami. Odczekał, aż masywna sylwetka Miri zniknie w ciemności i otoczył Laine ramieniem. Pokierował ją delikatnie w ustronne miejsce pod drzewami.

- Miri jest głową rodziny - powiedział ze śmiechem. - Sprawuje rządy silnej ręki.

- O tak. To się da zauważyć. Chyba trudno jest jej się sprzeciwić, prawda?

Z oddali dobiegał ich gwar przyjęcia.

- Nigdy nie próbowałem. Nie jestem na tyle odważny.

- Dziękuję, że zechciał pan poświęcić mi trochę czasu, panie Kinimoko - zaczęła.

- Mów mi Tommy, proszę, a wówczas ja będę mógł nazywać cię Laine.

Laine uśmiechnęła się. Szli obok siebie przy dźwiękach fal rozbijających się o brzeg morza.

- Miri mówiła, że masz jakąś błyskotkę do sprzedania. Niestety nie umiała powiedzieć mi nic bardziej konkretnego.

- To złoty medalion - wyjaśniła Laine. Zachowywał

się bardzo przyjaźnie, więc od razu poczuła się swobodnie. - Jest w kształcie serca i ma łańcuszek o splocie warkocza. Nie mam pojęcia, ile może być wart. - Przerwała, zastanawiając się, co powinna mu jeszcze powiedzieć. Po chwili dodała szczerze: - Potrzebuję szybko pieniędzy.

Tommy spojrział na jej delikatny profil i poklepał ją po ramieniu.

- Wiem też, że nie chciałybyś, by kapitan się o tym dowiedział. W porządku - kontynuował, widząc, że Laine pokiwała głową. - Mam trochę wolnego czasu jutro rano. Mógłbym wpaść około dziesiątej i spojrzeć na medalion. Co ty na to? Dla ciebie będzie to pewnie wygodniejsze niż przyjeżdżanie do sklepu.

Laine usłyszała jakiś szmer w krzakach i spostrzegła, że Tommy obejrzał się w tym kierunku.

- To bardzo miłe z twojej strony. Mam nadzieję, że nie sprawiam dużego kłopotu.

- Lubię kłopoty, które sprawiają piękne kobiety. - Objął ją ramieniem i poprowadził z powrotem w stronę zabawy. - Poza tym słyszałaś, co mówiła Miri. Nie chciałybyś chyba, żeby wytargała mnie za uszy.

- Nigdy bym sobie tego nie wybaczyła. Powiem Miri, że obszedłeś się właściwie z córką kapitana Simmonsa i twoje uszy będą bezpieczne.

Śmiejąc się i patrząc na siebie, wyszli pomiędzy drzew.

- Siostra cię szuka, Tommy.

Na dźwięk głosu Dillona, Laine spojrzała z miną winowajcy.

- Dzięki, Dillon. Oddaję ci już Laine. Dobrze się nią opiekuj - doradził. - Miri jej pilnuje.

- Będę o tym pamiętał. - Dillon w milczeniu przypatrywał się Tommy'emu, a kiedy ten już wmieszał się w tłum, odwrócił się do Laine i przyjrzał się jej uważnie. - Jest taki stary hawajski zwyczaj - zaczął wolno groźnym tonem - który przed chwilą wymyśliłem, a który głosi, że gdy kobieta przychodzi na luau z mężczyzną, to nie spaceruje po gęstym zagajniku z nikim innym.

- Czy zostanę rzucona rekinom na pożarcie, jeśli złamię tę zasadę? - zażartowała. Ale przestała uśmiechać się drwiąco, gdy Dillon zrobił krok w jej stronę.

- Nie rób tego, Laine. - Objął dłonią jej szyję. - Nie mam zbyt dużej wprawy w zachowywaniu powściągliwości.

Zbliżyła się do niego, czując gwałtowną, niepohamowaną potrzebę pocałowania go.

- Dillon - wymruczała zachęcająco i uniosła głowę, oferując mu usta.

Czuła dotyk jego palców na szyi. Oparła dłonie na jego piersi i poczuła, jak bije jego serce. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Dillon zwolnił uścisk i powiedział cicho:

- Kobieta, która stoi w blasku księżyca, musi być pocałowana.

- Czy to też stary hawajski obyczaj?

- O tak, ma około dziesięciu sekund.

Z niezwykłą łagodnością przyłgnął ustami do jej warg. Pocałunek sprawił, że kolana się pod nią ugięły, a ciało zdrząło z rozkoszy. Z oddali dobiegał odgłos

bębnow, których dźwięk przybierał na sile, podobnie jak bicie jej serca. Objęła go mocno i przycisnęła do siebie. Zbyt szybko, jak uznała z przykrością, Dillon puścił ją, odsuwając twarz.

- Jeszcze - wyszeptła nienasycona i przyciągnęła go do siebie.

Siła jego pocałunku sprawiła, że mogła myśleć wyłącznie o swoich pragnieniach. Czuła jego niecierpliwe usta i żar bijący z jego ciała. Powietrze wokół nich здавало się wirować. Miała wrażenie, że nie panuje nad swoim ciałem. Dillon odsunął ją raz jeszcze.

- Wracajmy, zanim objawi mi się jakiś kolejny stary zwyczaj.

Następnego ranka Laine zwlekała z wyjściem z łóżka. Z przyjemnością wspominała wydarzenia zeszłego wieczora. Smak ust Dillona i zapach jego ciała wciąż pozostawały żywe. Z rozkoszą myślała o chwili, kiedy trzymał ją w ramionach. Westchnęła i zebrała się na odwagę, by stawić czoło rzeczywistości. Opuściła wygodne łóżko i w chwili gdy założyła szlafrok, do pokoju weszła Miri.

- O, zdecydowałaś się wstać? Pół dnia minęło, kiedy się tak wylegiwałaś - powiedziała pełnym powagi tonem, ale w jej oczach migotało pobłażanie.

- Dzięki temu noc trwała dłużej - wyjaśniła jej Laine z uśmiechem.

- Smakowały ci hawajskie smakołyki?

- Były wyborne.

Melodyjny śmiech Miri wypełnił pokój.

- Wychodzę na zakupy - powiedziała i odwróciła się w stronę drzwi. - Tommy przyjechał. Ma poczekać?

Laine nerwowo poprawiła włosy.

- O rany, nie zdawałam sobie sprawy, że jest już tak późno. Nie chciałabym sprawić mu kłopotu. Czy jest ktoś jeszcze w domu?

- Nie, wszyscy wyszli.

Laine rzuciła okiem na szlafrok i uznała, że jest on wystarczającym okryciem, żeby przyjąć gościa.

- Niech wejdzie, nie chciałabym kazać mu czekać.

- Zaoferuje ci uczciwą cenę. - Miri otworzyła drzwi. - A jeśli nie, przyjdź do mnie.

Laine wyjęła pudełeczko z szuflady i otworzyła je. Promienie słońca odbiły się od powierzchni medalionu.

- Laine.

Odwróciła się i zobaczyła stojącego w drzwiach Tommy'ego.

- Dzień dobry. Dziękuję, że przyszedłeś. Przepraszam, ale spałam dziś wyjątkowo długo.

- Traktuję to jako komplement dla gospodarza luau.  
- Ukłonił się lekko.

- To było moje pierwsze. I na pewno pozostanie w pamięci jako najlepsze. - Wyciągnęła przed siebie pudełko z medalionem, a kiedy wziął je do ręki, złożyła dłonie na piersi.

- Ładna rzecz - ocenił po chwili. Uniósł głowę i popatrzył uważnie na Laine. - Laine, przecież ty wcale nie chcesz tego sprzedać. To jest wypisane na twojej twarzy.

- Nie. - Z jego zachowania wyczytała, że nie ma sensu ukrywać prawdziwych zamiarów. - Ja muszę to zrobić.

Zdecydowanie w jej głosie sprawiło, że Tommy tylko wzruszył ramionami i zamknął pudełko.

- Mogę dać ci sto dolarów, choć sądzę, że tak naprawdę jest to dla ciebie dużo więcej warte.

- W porządku. Zabierz pudełko już teraz.

- Jeśli tego właśnie chcesz. - Tommy wyciągnął portfel i zaczął liczyć banknoty. - Przyniosłem gotówkę, bo zapewne to wygodniejsze niż czek.

- Dziękuję. - Przyjęła pieniądze i wpatrywała się w nie pustym wzrokiem, aż położył rękę na jej ramieniu.

- Laine, znam kapitana już dość długo. Czy możemy się umówić, że potraktujesz te pieniądze jako pożyczkę?

- Nie. - Potrząsnęła przecząco głową, a potem uśmiechnęła się, łagodząc gwałtowną reakcję. - To bardzo uprzejme z twojej strony, ale muszę to załatwić w ten sposób.

- Jasne. - Schował pudełko do kieszeni. - W każdym razie zachowam medalion przez jakiś czas, tak na wszelki wypadek, gdybyś zmieniła zdanie.

- Dziękuję. Dziękuję też za to, że o nic nie pytasz.

- Nie odprowadzaj mnie, sam trafię do wyjścia. - Ucisnął delikatnie jej dłoń. - Jeśli zmienisz zdanie, powiadom Miri, a ona skontaktuje się ze mną.

- Zgoda.

Kiedy wyszedł, opadła ciężko na łóżko i przyjrzała się banknotom zaciśniętym w dłoni. Nie miała wyjścia, powiedziała do siebie w myślach. To był tylko kawałek metalu. Sprawa zamknięta i nie ma sensu jej teraz rozpamiętywać.

- Widzę, księżniczko, że miałaś pracowity poranek.

Dillon patrzył na nią lodowatym wzrokiem i Laine nie mogła pozbierać myśli. Wpatrywał się w jej ledwo co okryte ciało. Automatycznie poprawiła szlafrok. Podszedł do niej, wyjął pieniądze z jej dłoni i rzucił na szafkę nocną.

- Masz klasę, księżniczko. - Przeszył ją wzrokiem.  
- Całkiem niezłe jak na poranną robotę.

- O czym ty mówisz? - Próbowała poukładać myśli i szukała sposobu, jak pominąć temat medalionu.

- Myślę, że to nie wymaga wyjaśnień. Sądzę jednak, że jestem winien Orchidei przeprosiny. - Wcisnął ręce w kieszenie i odwrócił się na pięcie. Ta swobodna postawa nie pasowała do ognia w jego oczach. - Kiedy powiedziała mi o waszej schadzce, wsiadłem na nią niemiłosiernie. Szybko pracujesz, Laine. Wczoraj nie mogłaś być z Tommym dłużej niż dziesięć minut, ale udało ci się go skaptować.

- Ale co cię tak złości? - zaczęła, nie mogąc zrozumieć, dlaczego sprzedaż medalionu tak go rozwścieczyła. - Domyślam się, że panna King słyszała naszą wczorajszą rozmowę. - Niespodziewanie Laine przypomniała sobie dziwne poruszenie w krzakach, które zwróciło uwagę Tommy'ego. - Ale dlaczego uznała, że warto informować cię o moich sprawach?

- Jak ci się udało pozbyć Miri na czas załatwiania interesów? - spytał. - Miri ma raczej sztywny, jasno określony kodeks zasad moralnych. Gdyby dowiedziała się, jak zarobiłaś te pieniądze, mogłoby być z tobą krucho.

- Co ty... - Zaczęło do niej docierać, o czym mó-

wił. Nie chodziło mu o medalion, pomyślała zupełnie osłupiała, lecz o moje ciało. - Chyba nie myślisz naprawdę, że ja... - urwała w pół słowa, widząc potępienie w jego oczach. - To naprawdę nikczemne z twojej strony. Nic, co do tej pory o mnie mówiłeś i o co mnie oskarżałeś, nie może się równać z tym, co teraz sugerujesz. - Jej głos drżał. - Nie życzę sobie, żebyś obrażał mnie w ten sposób.

- Nie? - Dillon chwycił jej ramię i gwałtownie postawił ją na nogi. - Masz w zanadru jakąś prawdopodobną historyjkę na temat odwiedzin Tommy'ego i pieniędzy, które ściskasz w dłoni? Proszę bardzo, opowiedz mi ją. Zamieniam się w słuch.

- Właśnie widzę. Wybacz Dillon, ale wizyta Tommy'ego i moje pieniądze to nie twój interes. Nie widzę powodu, by tłumaczyć się przed tobą. Wnioski, jakie wyciągnąłeś, sprawiają, że niewart jesteś ani jednego słowa wyjaśnienia. Sam fakt, że uwierzyłeś Orchidei oraz w jej wierutne kłamstwa i przybiegłeś tu mnie kontrolować, dowodzi, że nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

- Nie przyszedłem tu na kontrolę. Przyszedłem, bo pomyślałem, że może chciałabyś kontynuować naukę. Obiecałem, że nauczę cię latać. Jeśli chcesz, żebym cię przeprosił, to podaj mi logiczne wytłumaczenie tej sytuacji.

- Poświęciłam już wystarczająco dużo czasu na tłumaczenie się przed tobą. Więcej niż zasługujesz. Ciagle zadajesz pytania, żądasz wyjaśnień. Nigdy nie ufasz. - Oczy Laine zapłonęły gniewem. - Wyjdź teraz z mo-



jego pokoju. Chcę, żebyś zostawił mnie w spokoju do końca mojego pobytu w domu ojca.

- Już wychodzę. - Zacisnął palce na jej ramieniu.

- Kupiłem to wszystko. Nabrałem się na te duże, niewinne oczy, na kruchą, niewinną kobietkę, która przedstawiła się jako biedna córka szukająca miłości ojca i niczego więcej. Mówisz o zaufaniu? Sprawiałaś, że ufałem ci bardziej niż sobie samemu. Wiedziałaś, że cię pragnę, i wykorzystałaś to umiejętnie. Odgrywałaś doskonale swoją rolę. - Pociągnął ją gwałtownie do siebie, niemal odrywając od ziemi.

- Dillon, to boli.

- Pragnąłem cię - kontynuował, jakby jej nie słyszał. - Zeszłej nocy pożądałem cię, ale pohamowałem się i okazałem ci szacunek, jakiego nie okazałem jeszcze żadnej kobiecie. Przybierasz pozę niewiniątka, która doprowadza mężczyzn do szaleństwa. Ale nie powinnaś robić tego mnie, księżniczko.

Strach ścisnął jej serce. Oddychała szybko i niespokojnie.

- Koniec zabawy. Zamierzam wziąć to, czego chcę.

- Zignorował jej protest i pocałował ją gwałtownie i mocno.

Próbowała się bronić, ale zdołała tylko co liść próbujący opierać się wichurze. Poczowała, jak pokój przechyla się, i wylądowała na materacu, przygnieciona przez Dillona. Starła się walczyć, ale nic nie mogła poradzić na atak jego zapalczywych ust i dłoni. Brutalnie zerwał z niej szlafrok i namiętnie pieścił jej ciało.

Z wolna jego ruchy stawały się delikatniejsze i bar-

dziej zmysłowe. Całował jej usta i szyję. Ze szlochem przechodzącym w jęk rozkoszy Laine poddała się jego pieścizotom. Jej ciało uległo jego atakom, przytłoczone podnieceniem, jakiego nigdy nie zaznało. Łzy wzbierały w jej oczach i nie próbowała ich zatrzymać, podobnie jak nie powstrzymywała pieścizot mężczyzny, który te łzy wywołał.

Nagle Dillon zastygł w bezruchu. W pokoju zaległa grobowa cisza, przerywana tylko ich przyspieszonymi oddechami. Dillon uniósł głowę i przyjrzał się łzom płynącym po jej policzkach. Zaklął gniewnie i wstał. Przeczesał palcami włosy i odwrócił się do Laine plecami.

- Po raz pierwszy zostałem doprowadzony do takiego stanu, że niemal wzięłem kobietę siłą. - Jego głos był niski i ochrypły. Odwrócił się i spojrzał na nią. Laine leżała nieruchomo, zupełnie wyczerpana psychicznie. Nie próbowała nawet zakryć swego nagiego ciała. Patrzyła na niego wzrokiem zranionego dziecka. - Nie mogę poradzić sobie z tym, jak na mnie działasz, Laine.

Obrócił się na pięcie i wybiegł z pokoju. Laine pomyślała, że dźwięk zatraskiwanych drzwi jej pokoju był najbardziej przejmującym dźwiękiem, jaki kiedykolwiek słyszała.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Przez swoje okno w sypialni Laine patrzyła na wiosenny deszcz. Zza drzwi słyszała dziewczęta schodzące do holu na śniadanie, ale nie uśmiechnęła się na dźwięk ich beztronskiego chichotu. Nadal uśmiech przychodził jej z trudem.

Nie minęły przecież jeszcze dwa tygodnie od dnia, kiedy Miri przyłapała Laine na pakowaniu walizek. Miri ze skrzyżowanymi na piersiach rękami wysłuchiwała wyjaśnień Laine, która jednak pozostała niewzruszona na dziesiątki pytań i prośby o przełożenie daty wyjazdu. Liścik, który zostawiła ojcu, nic w zasadzie nie wyjaśniał. Były w nim tylko przeprosiny za niespodziewany wyjazd oraz obietnica napisania dłuższego listu, kiedy już wróci do Francji. Jak do tej pory, Laine nie znalazła w sobie jeszcze tyle odwagi, żeby zabrać się do pisania.

Wspomnienia ostatnich chwil spędzonych z Dillo-nem wciąż ją prześladowały. Nie potrafiła też zapomnieć zapachu kwiatów z wyspy, ciepłego, wilgotnego powietrza morskiego pieszczącego jej skórę. Gdy patrzyła na księżyc, przed oczami stawał jej obraz palm oświetlonych jego światłem. Laine liczyła na to, że z biegiem czasu wszystkie te wspomnienia wyblakną. Kauai to była przeszłość.

Tak jest lepiej, pomyślała, szykując się do pracy. Lepiej dla wszystkich. Jej ojciec ma swoje szczęśliwe życie i na pewno wystarczy, jeśli od czasu do czasu napiszą do siebie. Być może któregoś dnia ją odwiedzi. Laine wiedziała, że na Hawaje już nie poleci. Miała przecież swoje życie, pracę, przyjaciół. Tu wiedziała, czego od niej oczekują. Tutaj żadne emocjonalne burze nie będą zakłócać jej spokojnej egzystencji. Zamknęła oczy i pomyślała o Dillonie.

Jeszcze za wcześnie, powiedziała sobie. Zbyt wcześnie na myślenie o nim bez uczucia bólu. Może za jakiś czas, kiedy wspomnienia osłabną, łatwiej przyjdzie jej rozpamiętywać tamten czas i piękne chwile na wyspie.

Łatwiej przychodziło jej zapomnieć, kiedy oddawała się rutynowym zajęciom. Plan dnia Laine był tak napięty, że zostawało jej tylko niewiele wolnego czasu. Lekcje zajmowały jej poranki i przedpołudnia. Resztę dnia spędzała na różnych pracach domowych, tak żeby nie mieć czasu na rozmyślania.

Deszcz padał przez cały dzień. Krople, wpadając przez nieszczelny dach, stukały o podłogę w klasie, w której uczyła Laine. Budynek był już bardzo stary i zaniedbany. Naprawy nigdy nie były zakończone lub odkładano je na bliżej niesprecyzowaną przyszłość. Okna były zamknięte przed napływem wilgoci, ale ponura mgła wpełzła do sali. Uczniowie wydawali się znudzeni, senni i niezainteresowani tematem zajęć. Ostatnią lekcję miała z dziewczętami z Anglii. Były wyraźnie znudzone nauką francuskiej gramatyki. Ponieważ była so-

bota, zajęcia trwały tylko pół dnia, ale godziny bardzo się dłużyły. Laine otuliła się szczelnie granatowym swetrem i pomyślała, że popołudnie lepiej wypełniłaby lektura dobrej książki i miła pogawędka przy kominku, niż odmiana czasowników w wilgotnej sali lekcyjnej.

- Eloise - zawołała Laine, przypominając sobie o swych obowiązkach. - Drzemkę warto odłożyć na czas po zajęciach.

Dziewczyna zamrugała oczami. Uśmiechnęła się zakłopotana, a jej koleżanki zachichotały pod nosem.

- Oczywiście.

Laine westchnęła.

- Za dziesięć minut będziecie wolne - przypomniała uczennicom, siadając na brzegu biurka. - Jeśli zapomnieliście, to przypominam wam, że dzisiaj jest sobota. A jutro niedziela.

Ta informacja wywołała radosne szepty i kilka westchnień. Widząc, że przynajmniej na chwilę udało jej się skupić uwagę dziewcząt, Laine kontynuowała zajęcia.

- *Maintenant*, czasownik *chanter*. Śpiewać. *Attendez, ensuite repetez. Je chante, tu chantes, U chante, nous chantons, vous...* — Jej głos zamarł, gdy zobaczyła mężczyznę zagląającego przez drzwi do klasy.

- *Vous chantez.*

Laine zmusiła się, by ponownie skupić swą uwagę na Eloise.

- *Oui, vous chantez, et ils chantent. Repetez.*

Dziewczęta posłusznie powtórzyły chórem odmianę

czasownika. Laine wróciła za swoje biurko. Dillon stał spokojnie i czekał. Kiedy głosy przycichły, Laine starała się wrócić myślami do ćwiczeń, które zaplanowała.

- *Bien*. Na poniedziałek napiszecie zdania z użyciem tego czasownika we wszystkich formach.

- Tak jest, proszę pani.

W tym momencie dzwonek oznajmił, że lekcja się skończyła.

- Nie szalejcie - zawołała za dziewczętami, z trzaskiem zamykającymi blaty biurek i uciekającymi w pośpiechu z klasy. Zaciskając nerwowo dłonie, przygotowywała się na trudne spotkanie.

Patrzyła, jak jej uczennice, chichocząc i szepcząc, mijają Dillona. Jej serce zatrzepotało w piersi, gdy zobaczyła jego przyjazny, ciepły uśmiech. Wszedł do klasy, podszedł do Laine i zatrzymał się przed nią.

- Witaj, Dillon - zaczęła szybko, starając się ukryć zmieszanie. - Wygląda na to, że zrobiłeś niezwykle wrażenie na moich uczennicach.

Przyglądał się jej w milczeniu, a Laine próbowała zachować uśmiech na twarzy, choć czuła, że emocje targają nią coraz mocniej.

- Nie zmieniałaś się - powiedział po chwili. - Nie wiem dlaczego, ale obawiałem się, że się zmienisz. - Sięgnął do kieszeni, wyjął z niej medalion i położył go na biurku. Laine zaniemówiła i wpatrzyła się w medalion. Jej palce instynktownie zacisnęły się na złotym; sercu.

- Wiem, że nie były to zbyt wyszukane przeprosiny, ale dotychczas nie miałem okazji tego przećwiczyć. Na

miłość boską, Laine! - Ton jego głosu zmienił się w gniew tak szybko, że zaskoczona Laine uniosła głowę. - Jeśli potrzebowałaś pieniędzy, dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Po co? Żeby potwierdzić twoją opinię o mnie?  
- zapytała.

Dillon odwrócił się, podszedł do okna i zapatrzył się w ścianę deszczu.

- Zasłużyłem sobie na to - mruknął, oparł ręce na parapecie i zamilkł. Wyraz bólu przeszył jego twarz. Laine, poruszona tym widokiem, powiedziała:

- Nie ma sensu się teraz spierać, Dillon. To już przeszłość i nie wracajmy do tego. - Wstała, pozostając nadal po drugiej stronie biurka. - Doceniam, że poświęciłeś swój czas i wysiłek, żeby oddać mi medalion. To dla mnie ważniejsze, niż myślisz. Nie wiem, kiedy będę w stanie zwrócić ci pieniądze. Ja...

Dillon odwrócił się, a Laine zeszła mu z drogi, widząc wściekłość w jego oczach. Dostrzegła, że próbował opanować emocje.

- Nie, nie mów już nic więcej. Po prostu daj mi chwilę czasu. - Ponownie włożył ręce do kieszeni i przez długą chwilę przechadzał się po pokoju. Stopniowo jego ruchy stały się wolniejsze. - Dach przecieka  
- powiedział od niechcienia.

- Tylko kiedy pada deszcz.

Zaśmiał się krótko, po czym ponownie odwrócił się w jej stronę.

- Być może niewiele to dla ciebie znaczy, ale chciałem cię przeprosić. Nie. - Pokręcił głową, nie dopusz-

czając tym samym, by mu odpowiedziała. - Nie bądź tak cholernie wielkoduszna. To tylko sprawi, że będę czuł się bardziej winny. - Chciał zapalić papierosa, ale przypomniał sobie, gdzie się znajduje, i tylko westchnął ciężko. - Po tym, jak się ośmieszyłem, wypadłem na chwilę z twojego pokoju. Moje myśli zawsze są najbardziej klarowne, kiedy jestem kilkaset metrów nad ziemią. Być może ciężko byłoby ci w to uwierzyć, ale chciałem prosić cię o wybaczenie. Pewnie nawet zabrzmiałoby to dla ciebie zabawnie, lecz takie właśnie są fakty. Nawet przez chwilę nie wierzyłem w te wszystkie słowa, które do ciebie mówiłem. - Zakrył twarz dłońmi, a Laine po raz pierwszy zauważyła, że wyglądał na zmęczonego i wyczerpanego. - Jedno wiem na pewno. Zwariowałem na twoim punkcie od pierwszej chwili, w której cię ujrzałem. Wróciłem do domu z zamiarem wygłoszenia przeprosin, które i tak pewnie niewiele by dały... Próbowałem wmówić sobie, że mój dystans w stosunku do ciebie miał jedynie na celu dobro kapita. - Potrząsnął głową, a przepraszający uśmiech rozświetlił mu twarz. - Ale to nic nie pomogło.

- Dillon...

- Laine, nie przerywaj. Nie mam na tyle cierpliwości. - Zaczął ponownie krążyć po sali, a Laine stała w milczeniu. - Nie jestem w tym za dobry, więc po prostu milcz, dopóki nie skończę. - Kiedy to mówił, nadal niespokojnie przechadzał się po pokoju. - Gdy wróciłem, Miri czekała na mnie. Początkowo nie mogłem z niej nic wydusić poza tym, że wygłosiła szczerą krytykę mojego charakteru. W końcu powie-



działa mi, że wyjechałaś. Nie przyjąłem najlepiej tej wiadomości, ale nie ma sensu teraz wracać do tego. Po tym, kiedy wyrzuciłem z siebie wiele przekleństw, powiedziała mi o medalionie. Musiałem przysiąc na wszystkie świętości, że nie powiem kapitanowi ani słowa. Wygląda na to, że Miri dała ci swoje słowo, że kapitan o niczym się nie dowie. Jestem we Francji od dziesięciu dni, próbując cię odszukać. - Odwrócił się i z rezygnacją machnął ręką. - Dziesięć dni - powtórzył, jakby to oznaczało całą wieczność. - Tak było do dzisiejszego poranka, kiedy to spotkałem służącą, która pracowała dla twojej matki. Kiedy już dogadałem się z nią łamaną angielszczyzną, zrobiła się bardzo wylewna. Nasłuchiwałem się o długach i licytacjach, i o małej mademoiselle, która została w szkole podczas ferii świątecznych na Boże Narodzenie, podczas gdy Madame wyjechała do Saint Moritz. Podała mi nazwę twojej szkoły. - Zrobił przerwę. Przez chwilę słychać było jedynie kapiące z sufitu krople wody. - Nie ma takiej rzeczy, którą mogłabyś mi powiedzieć, a której sam już sobie dobitniej nie powiedziałem. Ale doszedłem do wniosku, że powinnaś mieć przynajmniej taką możliwość. A więc słucham...

Widząc, że skończył, Laine zaczerpnęła powietrza i zaczęła mówić:

- Dillon, przemyślałam dokładnie, jak mogłeś odebrać tamtą sytuację. Znałeś jedynie jedną stronę, a twoje serce było po stronie mego ojca. Nie mogę gniewać się na ciebie za twoją lojalność i dbałość o jego dobro. A co do tego, co zdarzyło się ostatniego poranka - przełknę-

ła, starając się, aby jej głos brzmiał spokojnie - myślę, że było to dla ciebie trudne co najmniej tak samo, jak dla mnie. A może nawet bardziej.

- Sprawiałabyś, że byłoby mi nieco lżej na sumieniu, gdybyś mnie skłęła lub cisnęła czymś we mnie.

- Wybacz. - Spróbowała się uśmiechnąć i uniosła ramiona w przepraszającym geście. - Musiałabym być naprawę wściekła, żeby to zrobić. Zwłaszcza tutaj. Zakonnice niechętnie patrzą na wybuchy emocji.

- Kapitan chce, żebyś wróciła do domu - powiedział cicho.

Uśmiech zamarł na twarzy Laine. Pokręciła głową, i podeszła do okna.

- Tu jest mój dom.

- Twój dom jest na Kauai. Kapitan chce mieć cię z powrotem. Czy to byłoby w porządku, żeby stracił cię ponownie?

- A czy w porządku jest oczekiwać, że odwrócę się plecami do mojego życia i wrócę? - spytała. Starła się jednocześnie nie dopuścić do swego serca bólu, jaki wywołały w niej własne słowa. - Nie mów mi, co jest w porządku, a co nie, Dillon.

- Posłuchaj. Możesz być wobec mnie tak okrutna, jak tylko potrafisz. Zasłużyłem na to. Ale kapitan nie zasłużył. Jak ci się wydaje, jak on się czuje, wiedząc, jakie miałaś dzieciństwo?

- Powiedziałeś mu? - Odwróciła się gwałtownie i Dillon zobaczył, że Laine z trudem kontroluje emocje.

- Nie miałeś prawa...

- Miałem święte prawo - przerwał jej. - Tak jak

kapitan miał święte prawo wiedzieć. Laine, posłuchaj mnie. - Chciała odwrócić się, ale jego słowa i delikatny ton głosu zatrzymały ją. - On cię kocha. Nigdy, przez wszystkie te lata, nie przestał cię kochać. To pewnie dlatego zareagowałem na twój przyjazd w taki przykry sposób. - Przeczesał włosy niecierpliwym ruchem ręki. - Przez piętnaście lat miłość do ciebie raniła go.

- Nie wydaje ci się, że ja doskonale zdaję sobie z tego sprawę? - rzuciła w jego stronę. - Dlaczego więc miał cierpieć jeszcze bardziej?

- Laine, tych kilka dni, które z nim spędziłaś, zwróciły mu z powrotem jego córkę. Nie pytał, dlaczego nigdy nie odpowiedziałaś na jego listy, nie oskarżał cię o żadną z tych rzeczy, o które ja cię posądzałem. - Zaciśnął powieki, ponownie sprawiając wrażenie udręczonego. - Kochał cię, nie oczekując wyjaśnień ani przeprosin. Byłoby czymś bardzo złym podtrzymywanie kłamstwa. Kiedy dowiedział się, że wyjechałaś, sam chciał przyjechać do Francji i zabrać cię z powrotem. Poprosiłem go, by pozwolił mi, bym ja to zrobił, ponieważ wiedziałem, że to przeze mnie wyjechałaś.

- Tu nie ma mowy o winie, Dillon. - Laine z westchnieniem wsunęła medalion do kieszeni swego swetra. - Być może miałaś rację, mówiąc wszystko kapitanowi. Być może teraz wszystko jest jasne. Napiszę do niego dziś wieczorem. Popełniłam błąd, wyjeżdżając bez wyjaśnienia mu sytuacji. Fakt, iż teraz wiem, że ponownie jest moim ojcem, to dla mnie najpiękniejszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam. Nie chciałabym, aby którykolwiek z was myślał, że mój powrót do Fran-

cji i oznacza, że czuję się rozgoryczona. I naprawdę wierzę, że kapitan wkrótce mnie odwiedzi. Może zawieszysz mu list ode mnie?

Oczy Dillona pociemniały, a jego głos drżał od gniewu.

- Nie będzie szczęśliwy, wiedząc, że pogrzebałaś się żywcem w tej szkole.

- Nie pogrzebałam się, Dillon. Ta szkoła jest moim domem i moją pracą.

- I twoim sposobem ucieczki od problemów? - zapytał zniecierpliwiony, po czym zaklął i znowu zaczął przemierzać pokój. - Wybacz, to była zwykła złośliwość. Sam nie wiem, co mówię.

- Nie przepraszaaj więcej, Dillon. Te ściany chyba tego nie zniosą.

Zatrzymał się i przyjrzał jej uważnie. Stała do niego bokiem, ale widział wyraźnie linię jej brody i jasne pukle loków na skroniach. W granatowym sweterku i białej plisowanej spódniczce wyglądała bardziej jak studentka niż nauczycielka. Tym razem zaczął mówić spokojnie.

- Posłuchaj, księżniczko. Zostanę tu kilka dni i po-, udaję turystę. Może pokazałabyś mi miasto? Przydałby się ktoś ze znajomością francuskiego.

Laine zamknęła oczy i zastanowiła się, jak będzie wyglądać kilka dni w jego towarzystwie. Nietrudno było przewidzieć kłopoty i ból.

- Przepraszam cię, Dillon. Bardzo chciałabym to zrobić, ale obowiązki mi na to nie pozwalają. Może następnym razem.

- Nie będzie następnego razu. Staram się rozegrać to najlepiej, jak potrafię, ale chyba mi się nie udaje. Nigdy nie spotkałem kobiety takiej jak ty. Nie można do ciebie dopasować żadnego, znanego mi szablonu.

Ze zdziwieniem spostrzegła, że gdzieś zniknęła pewność siebie Dillona. Zrobił krok w jej stronę, zawahał się i podszedł do tablicy. Przez chwilę przyglądał się odmianie czasowników francuskich.

- Zjedz dziś ze mną kolację.

- Nie, Dillon, ja...

Odwrócił się gwałtownie, a Laine urwała w pół słowa.

- Jeśli nie zjesz ze mną nawet kolacji, to jak do diabła mam cię namówić, żebyś wróciła do domu i znów zaczęła ze mną normalnie rozmawiać? Każdy głupi widzi, że nie jestem najlepszy w tych sprawach. Sporo już namieszałem, a nie wiem, jak długo jeszcze uda mi się w miarę sensownie i logicznie mówić. Kocham cię, Laine. Wróć ze mną na Kauai i wyjdź za mnie.

Oszołomiona Laine nie mogła wyrzucić słowa. Wpatrywała się w niego wielkimi jak spodki oczami.

- Dillon? Czy ty powiedziałeś, że mnie kochasz?

- Tak. Powiedziałem, że cię kocham. Mam powtórzyć? - Uniósł dłoń do jej ramion, ustami dotknął jej włosów. - Kocham cię tak bardzo, że wariuję. Prawie nie jem i nie śpię. Wspominam, jak cudownie wyglądałaś z muszlą przy uchu. Stałaś tam, woda kapała z twoich włosów, w twoich oczach odbijało się niebo i morze, i całkowicie, bez pamięci zakochałem się w tobie.

Starałem się wyzwolić od tego uczucia, ale kolana się pode mną uginały za każdym razem, kiedy byłaś w pobliżu. A kiedy wyjechałaś, czułem się rozdarty. Nie byłem sobą, nie mogę bez ciebie żyć.

- Dillon - wyszeptała jego imię.

- Przrzekam, że do niczego nie będę cię zmuszał ani namawiał. Obdaruję cię wszystkim, czego pragniesz. Kwiatami, światłem świec. Będiesz zaskoczona, jaki potrafię być tradycyjnie romantyczny. Tylko proszę, wróć ze mną. Dam ci trochę czasu, zanim zacznę nalegać na małżeństwo.

- Nie. - Odetchnęła głęboko. - Nie wrócę, dopóki mnie nie poślubisz.

- Twardo negocjujesz - mruknął i zbliżył wargi do jej ust. Spragniony ich smaku, całował ją długo i delikatnie.

- Nie pozwolę ci zmienić zdania. - Zaplotła ręce na jego karku i przytuliła się do jego policzka. - A kwiaty i kolacje przy świecach będą mile widziane po ślubie.

- Ubiłaś interes, księżniczko. Poślubię cię, nim zdasz sobie sprawę, w co się pakujesz. Kilka osób mogłoby ci powiedzieć, że mam pewne wady. Jak na przykład okresowe utraty kontroli nad swoim temperamentem.

- Doprawdy? - Spojrzała na niego z niedowierzaniem. - Nigdy nie spotkałam mężczyzny bardziej łągodnego i opanowanego. Chociaż - mówiąc to, przesuwała palcem wzdłuż jego szyi w stronę guzika u jego koszuli - być może to odpowiednia chwila na wyznanie, że jestem diabelnie zazdrosna. Zupełnie nad tym nie panuję. I jeśli kiedyś, przypadkiem, zobaczę jakąś

kobietę tańczącą hula specjalnie dla ciebie, to zrzucę ją przy pierwszej sposobności z klifu do morza.

- Zrobiłabyś to? - Dillon uśmiechnął się szeroko i ujął w dłonie twarz Laine. - W takim razie Miri powinna jak najszybciej zacząć cię uczyć tańczyć. Ostrzegam jednak, że będę na każdej lekcji.

- Spróbuję być pojętną uczennicą. - Przyciągnęła go mocniej do siebie. - Ale w tej chwili wolę trochę inne lekcje. Pocałuj mnie, Dillon.

---